

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 16 (1432) 17 KWIECIEŃ 1988 R. CENA 20 ZŁ

ISSN 0137-8287

INDEKS 47977

W NUMERZE:

Nauczał z mocą ☉ Jezus Chrystus,
Bóg-Człowiek Zbawiciel ☉ w 45 roczni-
cę Powstania w getcie warszawskim ☉
Strofy o zagładzie ☉ Wiosna Ludów w
Krakowie ☉ Porady



DRUGA NIEDZIELA
PO WIELKANOCY

LEKCJA

z I Listu
św. Piotra Apostoła
(2,21—25)

Najmilsi: Chrystus cierpiał za nas, zostawiając wam przykład, abyście wstępowali w ślady Jego. A On grzechu się nie dopuścił ani też zdrada nie powstała w ustach Jego. Gdy mu złorzeczono, nie złorzeczył, gdy cierpiał, nie wygrażał się, ale poddawał się sądzącemu niesprawiedliwie. On sam w ciebie swoim zanosił grzechy nasze na krzyż, abyśmy, umarłszy dla grzechów, żyli dla sprawiedliwości, gdyż przez mękę Jego zostaliście uleczeni. Byliście bowiem jako owce błądzące, ale teraz powróciliście do pasterza i biskupa dusz waszych.

EWANGELIA

według
św. Jana
(10,11—16)

Onego czasu. Rzekł Jezus faryzeuszom: Jam jest pasterz dobry. Dobry pasterz życie swoje daje za owce swoje. Lecz najemnik i ten, kto nie jest pasterzem, do którego nie należą owce, na widok zbliżającego się wilka porzuca owce i ucieka, a wilk porywa i rozprasza owce. Najemnik zaś ucieka, bo jest najemnikiem i nie troszczy się o owce. Jam jest pasterz dobry, znam swoje i one mnie znają; jako mnie Ojciec, a ja znam Ojca. I życie swoje oddaję za owce moje. I inne owce mam, które nie są z tej owczarni. I te muszę przyprowadzić i słuchać będą głosu mego i stanie się jedna owczarnia i jeden pasterz.

Gorliwość i moc, to dwie kolejne cechy, które zdaniem św. Marka Ewangelisty wyróżniają Chrystusa i stawiają Go ponad innych uczonych w Piśmie i wskazują na Jego boskość. Przed tygodniem, w oparciu o świadectwo naszego Przewodnika, rozważaliśmy pierwszą z tych cech: gorliwość. Błyszczała nią Chrystus od dzieciństwa do śmierci. Gorliwość w służbie Bogu i ludziom. Już jako dwunastoletni chłopiec przez trzy dni wyjaśnia kapłanom w świątyni jerozolimskiej jak należy rozumieć objawienie Starego Testamentu, a kiedy usłyszał wymówkę zatroskanej Matki, usprawiedliwia się chęcią pełnienia woli Ojca niebieskiego: „I cóż, że szukalicie mnie! Czy nie wiecie, że w sprawach Ojca mojego być winienem?”

Apogeum tej gorliwości trwać będzie w latach publicznego nauczania. Jezus nie spocznie ani chwili, nie będzie zważał na zmęczenie, przeciwności. Będzie się ciągle spieszył dla dobra sprawy Bożej i dla dobra ziemskich braci. Zaczął tak olbrzymie dzieło — budowę Królestwa Bożego — pojednanie człowieka z Bogiem! Biegnie więc od wsi do wsi, od miasta do miasta, głosząc Ewangelię wszystkiemu stworzeniu. Ledwie przybył do Kafarnaum i natychmiast udał się do synagogi, by nauczać. Całą dobę w tym mieście wypełniło Mu usługiwanie ludziom, a już postanawia iść dalej. Mówi więc uczniom: „Chodźmy gdzie indziej, do sąsiedniej miejscowości, abym i tam mógł głosić Ewangelię, bo po to przyszedłem! I poszedł głosić w synagogach po całej Galilei”. Nie dziwny się,

kie walory, jak dobra prezencja, miły głos, jasność formułowania myśli, umiejętność absorbowania uwagi słuchaczy, a przy tym zdobyta już wcześniej sława, to taki naukowiec mógł kiedyś i dzisiaj liczyć na sukcesy. Jezus dopiero zdobywał rozgłos. Ale zdobywał go błyskawicznie i to świadczy o zupełnej wyjątkowości Jego Osoby. Wystarczyło jedno przemówienie w Kafarnaum, by uczestnicy spotkania w synagodze byli pełni podziwu dla Jego nauki.

Co sprawiło, że postawili Go wyżej, wynieśli ponad znanych i cenionych dotąd mędrców i uczonych w dziedzinie wiary? „Bo nauczał z mocą”, a nie tak, jak tamci. Weźmy pod uwagę to, że Chrystus był młody. Nikt Go nie znał. Jeśli coś o Nim wiadano, to chyba tyle, że był Synem cieśli z Nazaretu. Na dodatek otoczył się znanymi w Kafarnum prostymi ludźmi, którzy przynosili tu na targ złowione przez siebie ryby. Tu żyli teściowie Szymona. Wszystko to nie mogło dodawać w oczach mieszkańców Kafarnum szczególnej powagi Jezusowi. A jednak zyskał ją natychmiast! Bo miał ją w sobie. Bo głosił z mocą niepodważalnego autorytetu. Mieszkańcy Kafarnum bardzo szybko zrozumieli, że mają przed sobą nadzwyczajnego nauczyciela. Ich uczeni przemawiali też pięknie i mądrze, ale dla podkreślenia wartości swoich wywodów musieli powoływać się na innych, jeszcze sławniejszych mędrców.

Jezus przemawiał we własnym imieniu. To była jego nauka. On miał prawo identyfikować się z

Nauczał z mocą

że uczniowie Jezusa nauczyli się od Mistrza podobnej troski o zbawienie ludzi. Mam nadzieję, że owa gorliwość udzieli się i nam. Okazuje się, iż w naszych czasach jest również bardzo dużo do zrobienia w tym względzie. Tyle tytułem przypomnienia homilii poprzedniej.

Drugą wyróżniającą Chrystusa cechą była moc, z jaką nauczał. Osoba Nauczyciela, Jego wiedza i dostojeństwo sprawiły, że słowa Chrystusa pobudzały umysł i serce słuchacza. Budziły zaufanie i wiarę. Wykluczały wątpliwości, Jezus w przekazie św. Marka jest niepodważalnym autorytetem. Św. Marek pokazuje nam sylwetkę Chrystusa-Nauczyciela jakby na ekranie niemego kina. Widzimy Jezusa w akcji, widzimy, jak tłumy reagują aprobatą i entuzjazmem na to, co słyszą z Jego ust, ale do naszych uszu nie docierają żadne słowa, oprócz Markowego komentarza, wyjaśniającego tylko gesty. Pomija treść, którą zapewne zostawi na późniejszy czas, gdy już nie będzie w naszej świadomości żadnych wątpliwości odnośnie mesjańskiej godności Chrystusa. Nasz Ewangelista pisze: „Kiedy weszli do Kafarnaum (Jezus wraz z czterema uczniami: Szymeonem, Andrzejem, Jakubem i Janem) zaraz w szabat zaczął Jezus nauczać w synagodze. Wszyscy byli pełni podziwu dla Jego nauki, bo nauczał ich z mocą, a nie jak nauczyciela Pisma” (1,21—22).

Nauczanie tylko wówczas osiąga swój cel, jeśli przemawiający potrafi zdobyć zaufanie słuchaczy, a dzieje się tak wówczas, gdy wykładowca mówi z przekonaniem, zachowuje się godnie i okazuje szacunek oraz życzliwość dla słuchaczy. Jeśli do tego dojdą ta-

tym, co czytał na kartach Biblii. Wszak to Jego Duch był Autorem tamtych tekstów, a teksty te w niezliczonych miejscach mówiły właśnie o Mesjaszu, zapowiadały Jego przyjście i dzieło. To dlatego w rodzinnym Nazarecie mógł Jezus z mocą oznajmić: „Duch Pański nade mną, dlatego mnie namaścił, abym głosił ubogim dobrą nowinę, posłał mnie, abym obwieszczał więźniom uwolnienie, a ślepym odzyskanie wzroku. Abym wolnością obdarzył uciśnionych i ogłaszał rok zmiłowania Pańskiego... Dzisiaj wypełniło się to” (Łuk 4,13 i inn.)

Chociaż słowa te zrobiły w Nazarecie wrażenie, słuchacze nie mogli się wyzbyć uprzedzenia do Jezusa. Szanowali Go za dotychczasowe życie, ale nie uwierzyli w Niego jako Mesjasza nawet wówczas, gdy przemawiał do nich z mocą. Inaczej było w Kafarnum. Tu słuchano Go od początku życzliwie i uznano za niezwykłego Nauczyciela. Uwierzono w Jego moc. Kiedy jeszcze w ślad za nadzwyczajną nauką pójdą nadzwyczajne czyny (o pierwszym z nich będzie mowa za tydzień), wówczas przekonanie o mesjańskiej godności Chrystusa mogło bardzo szybko rozprzestrzenić się i zyskiwać gorliwych zwolenników dla Ewangelii. A przecież o to chodziło Zbawicielowi. Niestety idea mesjańska w tamtych czasach, u przeważającej większości rodaków Chrystusa, miała wypaczony, bardzo doczesny wymiar. Oczekiwano od Jezusa głównie ziemskich korzyści, uwolnienia od cierpień i kłopotów. Racje nadprzyrodzone z trudem torowały sobie drogę do sumień. A dziś, mimo upływu wieków czyż podobne myślenie nie przeważa nawet w kręgach uważających się za bardzo religijne? To opóźnia uznanie boskiego autorytetu Chrystusa przez wszystkich ludzi.

Ks. A.B.

DOBRY PASTERZ

„Zarpawdę, zaprawdę powiadam wam: Kto nie wchodzi do owczarni przez bramę, ale wdziiera się inną drogą, ten jest złodziejem i rozbójnikiem. Kto jednak wchodzi przez bramę, jest pasterzem owiec. Temu otwiera odzwierny, a owce słuchają jego głosu; woła on swoje owce po imieniu i wyprowadza je. A kiedy wszystkie wyprowadzi, staje na ich czele, a owce postępują za nim, ponieważ głos jego znają. Natomiast za obcym nie pójdą, lecz będą uciekać od niego, bo nie znają głosu obcych. Tę przypowieść opowiedział im Jezus, lecz oni nie pojęli znaczenia tego, co im mówił.

Powtórnie więc powiedział do nich Jezus: *Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Ja jestem bramą owiec. Wszyscy, którzy przyszli przede Mną są złodziejami i rozbójnikami, a nie posłuchały ich owce. Ja jestem bramą. Jeżeli zbawiony — wejdzie i wyjdzie, ktoś wejdzie przeze Mnie, będzie i znajdzie paszę. Złodziej przychodzi tylko po to, aby zabijać i niszczyć. Ja przyszedłem po to, aby owce miały życie i miały je w obfitości.*

Ja jestem dobrym Pasterzem. Dobry pasterz daje życie swoje za owce. Najemnik zaś i ten, kto nie jest pasterzem, którego owce nie są własnością, widząc nadchodzącego wilka, opuszcza owce i ucieka — a wilk je porywa i rozprasza — a to dlatego, że jest najemnikiem i nie troszczy się o owce. Ja jestem dobrym Pasterzem i znam owce moje, a moje Mnie znają, podobnie jak Mnie zna ojciec, a Ja znam Ojca. Życie moje oddaję za owce” (J 10, 1—15).

W Palestynie owce przebywają na pastwiskach od rana do nocy. W nocy pasterze zbierają owce do zagrody, a sami nocują w szałasach, które stawiają obok zagrody. Jedynie wyznaczeni strażnicy nie mogą zasnąć — oni strzegą owce przed dzikimi zwierzętami lub złodziejami.

Chrystus mówi: *Ja jestem bramą owiec.* Już u proroka Ezechiela Bóg występuje jako pasterz, wierny zaś lud jest owczarnią; równocześnie zapowiada prorok, że pasterzom ludu będzie zesłany przez Boga Mesjasz (Ez 34). Pan Jezus więc wskazuje na siebie jako na pasterza, przypisuje sobie godność mesjańską. Gdy mówi o sobie, że jest bramą, można to zrozumieć w dwójakim znaczeniu. Na jedno wska-



Fragment mozaiki podłogowej kościoła w Akwilei z lat dwudziestych IV w.

zuje On sam, gdy mówi: *Jeżeli ktoś wejdzie przeze Mnie, będzie zbawiony...* Wiąże się to z inną wypowiedzią Chrystusa: *Nikt nie przychodzi do Ojca inaczej, jak tylko przeze Mnie (J 14,6).* „Przeze Mnie” — to znaczy przez zbawcze pośrednictwo Chrystusa, przez sakramenty, które Chrystus pozostawił w swoim Kościele. W Kościele, którego jedność i wyłączność jest jednością i wyłącznością społeczności skupionej wokół Chrystusa — Dobrego Pasterza.

Właśnie Chrystus — Dobry Pasterz udziela nam Ducha Świętego, sprawiając to, że Ducha tego można nazwać Duchem Syna, Duchem Chrystusa, Duchem Jezusa, jak to rzeczywiście mówi się o Nim tak często w Nowym Testamencie. że Chrystus sam w sobie jest „Duchem ożywającym”, oraz że „Pan jest Duchem”. A, rozumie się, że Chrystus, o jakim tu mowa, nie jest Chrystusem pojętym abstrakcyjnie, tak jakby Jego wniebowstąpienie sprawiło, że przestał On już należeć do świata. Chodzi tu właś-

nie o historycznego Chrystusa, który był i jest Dobrym Pasterzem, chodzi o wcielonego Syna Bożego. Chrystus ten, za sprawą Ducha Świętego, zamieszkuje w naszych sercach tylko przez to, że doprowadził do końca zamysł Boga, żyjąc wśród nas i dając nam przykład, jakie winno być nasze życie. Chrystus pragnął w ten sposób zbawić świat i człowieka, chciał — jako Dobry Pasterz — doprowadzić wszystkich do Boga.

Człowiek jest ze swej natury przeznaczony do życia we wspólnocie. Jednak grzech burzy nie tylko więź z Bogiem, ale dzieli również ludzi między sobą, rozprasza ich. Dlatego dzieło Chrystusa ma znaczenie nie tylko dla jednostki. Chrystus sprawia, że ludzie na powrót się jednoczą, i to nie tylko z Bogiem, ale również między sobą. Jedynie wokół Chrystusa mogą się zjednoczyć ludzie wszystkich narodów i czasów. „*Ja jestem bramą. Jeżeli ktoś wejdzie przeze mnie będzie zbawiony — wejdzie i wyjdzie, i znajdzie paszę*”.

Wiadomo jednak, że Chrystus nie bez oporów mógł przeprowadzić swój zamiar zgromadzenia nowego ludu Bożego. Wielu ludzi sprzeciwiało się woli Bożej, głosząc własną, fałszywą naukę. „*Ja jestem bramą (...) Kto nie wchodzi do owczarni przez bramę, ale wdziiera się inną drogą, ten jest złodziejem i rozbójnikiem*”. Chrystus, który jest Dobrym Pasterzem nie pozostawia nas „najemkom”. On „*woła (...) swoje owce po imieniu i wyprowadza je*”. Aby nas ratować Chrystus oddał swoje życie: „*wydał samego siebie za nas, aby odkupić nas od wszelkiej nieprawności (...)*” (Tł 2.14). Mógł więc Chrystus powiedzieć: „*Ja jestem dobrym Pasterzem i znam owce moje, a moje Mnie znają, podobnie jak Mnie zna Ojciec, a Ja znam Ojca. Życie moje oddaję za owce*”.

Każdy z nas może i powinien podjąć w swoim życiu rolę otwartej bramy, przez którą Bóg mógłby zstępować w nasze otoczenie — a nasze otoczenie mogłoby zbliżyć się do Boga. Wszelki akt naszej cierpliwości, dobroci, miłosierdzia, przebaczenia — pozwala bliźnim dostrzec poprzez nas cierpliwego, dobrego i miłosiernego Boga; pozwala im tego Boga poznać i uwielbić.

„Panie Jezu Chryste, Ty sam wskazałeś mi drogę do prawdziwej, wyznaczającej moje życie wiary. Jest to droga codziennej i czynnie gotowej do pomocy miłości bliźniego. Na tej drodze spotykam Ciebie, rozpoznaję Cię lub nie. Światło życia, prowadź mnie po tej ścieżce. Pozwól mi nią kroczyć w cierpliwości stale dalej i stale na nowo. Daj mi tę niepojętą siłę, bym odważył się zbliżyć do człowieka ofiarowując w darze samego siebie. Wówczas Ty sam, w niepojętej jedności z tymi, którzy przyjmą moją miłość, wyjdiesz mi w bliźnim naprzeciw: Ty jesteś tym, który może objąć całe życie człowieka i równocześnie pozostajesz tym, w którym miłość oddana Bogu nie przestaje być miłością do człowieka.

Moja wiara w Ciebie jest chwiejna, powtarzam więc za człowiekiem z Ewangelii: „wierzę; Panie wspomóż moją niewiarę”. Prowadź mnie Twymi drogami, Ty, który jesteś drogą do bliźniego, nieznanego spotkanego brata, a w nim Bogiem. Teraz i na wieki. Amen”.

(Karl Rehner: Wierzę w Jezusa Chrystusa)

Jezus Chrystus, Bóg-Człowiek, Zbawiciel

„W V wieku zapadło (w węższym sensie) podstawowe orzeczenie chrystologiczne, które pociągnęło za sobą spory doktrynalne w starym Kościele trwające do VII wieku, a ich następstwem na Wschodzie było odstępstwo istniejących do dziś częściowych Kościołów monofizycznych i nestoriańskich. Orzeczenie to nastąpiło na czwartym soborze ekumenicznym w Chalcedonie (541) przez stwierdzenie, że Jezus Chrystus jest Jedną Osobą (Hypostazą) o dwóch naturach — prawdziwym Bogiem i prawdziwym Człowiekiem. Na soborze ekumenicznym w Konstantynopolu (533) celem mocniejszego podkreślenia jedności Osoby Chrystusa uchwalono twierdzenie, że Jezus Chrystus jest Jeden z obu natur i należy Mu się czcić w Jego bosko-ludzkiej (nie tylko ze względu na Jego Bóstwo). Na szóstym soborze ekumenicznym w Konstantynopolu (680—681) zastosowano chalcedońską decyzję zasadniczą do problemu woli i ogłoszono naukę, że Jednemu Jezusowi Chrystusowi przysługują dwie naturalne wole i sposoby działania (energie): wola boska i wola ludzka, przy czym ludzka stosuje się do boskiej (Mt 26,29).

Osoba Zbawiciela

Postanowienia soboru chalcedońskiego są dogmatycznie ważną interpretacją stwierdzenia Ewangelii Jana: „Słowo stało się ciałem” (J 1,14). Dają one odpowiedź na pytanie, jak należy rozumieć poświadczoną w Janowym zdaniu wspólność boskiego i ludzkiego istnienia i działania w jednym Jezusie Chrystusie. Uczyniono tak nie dla wyjaśnienia „jak” ta wspólność istnieje, lecz dla utrzymania „że” istnieje ta wspólność istnienia „jak”, ale aby trzymać się tej wspólności i właśnie w ten sposób uchronienia tajemnicy osoby Jezusa Chrystusa przed wszelkimi nieprześlanymi błędami i interpretacjami. Decydujące zdania soboru chalcedońskiego brzmią: „Nauczamy wszyscy jednogłośnie, że Syn, Pan nasz, Jezus Chrystus jest jeden i ten sam. Jest On w pełni Bogiem i w pełni Człowiekiem. Prawdziwym Bogiem i prawdziwym Człowiekiem, składającym się z rozumnej duszy i ciała. Jest On identyczny z Ojcem ze względu na Boskość, a ze względu na swoje człowie-

czeństwo jest On identyczny z nami, stał się On podobny nam we wszystkim, z wyjątkiem grzechu (Hbr 4,15)... Wyznajemy jednego i tego samego Chrystusa, Pana, Jednorodzonego, który istnieje w dwóch naturach, niezamierzonych i niezmiennych, nierozdzielnych i nierozłącznych, ponieważ obie występują razem w jednej Osobie i Hypostazie”.

Biorąc pod uwagę bardzo poważną trudność zrozumienia, jak dwie w sobie doskonałe, jakościowo jednak zupełnie różne i samodzielne i — jak później sprecyzowano — indywidualne istoty, Bóg i człowiek, mogą tworzyć jedność, zwraca się dogmat przeciw dwóm zbliżonym błędom. Po pierwsze przeciw próbie, aby dla zachowania postulowanej jedności widzieć w Jezusie Chrystusie człowieka, którego duch nie był ludzki, nie był „rozumną duszą”, ale był duchem Boga (Logos). Oznaczałoby to, że Jezus nie był całkowitym człowiekiem, z czego wynikałby wniosek, że natura Boska do tego stopnia zdominowała, złączyła się i wchłonęła Jego naturę ludzką, że jedność stała się jednością jednej (Boskiej) natury. Przeciw tej doktrynie monofizytów (jak nazywali się zwolennicy nauki o „jedności natury” Chrystusa) skierowane są w szczególności dwie pierwsze negacje dogmatu — „niezmieszanych” i „niezmienionych”. Z drugiej jednak strony sobór chalcedoński występuje przeciw odwrotnej próbie, aby dla zachowania wymaganej jedności osłabić pełnię Bóstwa w Jezusie Chrystusie w ten sposób, że przy zasadniczym uznawaniu Jego Bóstwa mówi się, iż w Jezusie Chrystusie Bóg jest obecny nie według swojej istoty, ale według swojego działania, mianowicie z pełnią łaski i upodobania. To zaś oznaczałoby, że jedność boskiej i ludzkiej „natury” w Chrystusie jest jednością wzajemnej „postawy”: z jednej strony boskiego upodobania, a z drugiej — ludzkiego charakteru, podczas gdy obie sprzeczne ze sobą natury pozostają rozdzielone. Przeciw tej „chrystologii rozdziatu” nestorianów (którzy wzięli swą nazwę od ich głównego teologa — Nestoriusza, zm. 451) skierowane są dwie następne negacje w orzeczeniu soboru — „nierozdzielnych” i „nierozłącznych”.

Przeciw obu błędom dogmat podkreśla, że jedność natur, któ-



re obie są całkowicie obecne w Chrystusie, ma swoją podstawę w jednej osobie i hypostazie Chrystusa. Obie natury są zjednoczone „unią hypostatyczną”, której tajemnica polega na tym, że Chrystus, który jako Syn Ojca jest osobą, ma od wieków „jako własną” pełnię Boskiej natury i w tym czasie „przyjął” pełną naturą ludzką. Na to twierdzenie o unii hypostatycznej (unii personalnej) kładzie nacisk orzeczenie soborowe. Przedmiotem wiary ma być „jedna i ta sama, jedyna osoba” Chrystusa.

Byłoby jednak czymś chybnym dopatrywanie się w postanowieniach soboru chalcedońskiego abstrakcyjno-metafizycznej konstrukcji myślowej, nie mającej znaczenia dla egzystencjalnej wiary w Chrystusa i w Jego dzieło zbawienia. Wprost przeciwnie. Dogmat mówi nam, że dostęp do Chrystusa można znaleźć praktycznie tylko poprzez wiarę w Osobę Chrystusa w tej nadzwyczajności, jaka przysługuje Mu jako Bogu-Człowiekowi. Tylko wtedy możemy skorzystać z Chrystusowego zbawczego dzieła odkupienia, które spełnia On na nas jako wieczny Syn i Bóg. Jeśli weźmiemy Go całkiem na serio w Jego człowieczeństwie, które przyjął. Syn Boży nie działa bowiem na nas inaczej, jak tylko przez swoją pełnię człowieczeństwa, przez które nas zbawia i nie możemy uczestniczyć w zbawie-

niu, jeżeli w Jego człowieczeństwie nie widzimy działania Jego pełnej Boskości.

W ten sposób sobór chalcedoński uniemożliwił nam pójście dwoma błędnymi drogami, na które zbaczała wiara w Chrystusa, nie wolno nam poszukiwać takiej drogi do Zbawiciela, aby nie zwracając uwagi na całe człowieczeństwo Chrystusa, na Chrystusa „według ciała” (nowocześnie — Jezusa historycznego), zwrócić się całkowicie tylko ku Jego Boskiej naturze i zatopić się w naturalno-mistycznej medytacji (droga, którą w Kościele Wschodnim poszli mnisi monofizycy). Nie możemy też, zapominając o Jego Boskiej naturze, widzieć w Chrystusie tylko doskonałego, obdarzonego łaską człowieka, który jest dla nas tylko wzorem, nauczycielem, inicjatorem wiary (droga, którą na Zachodzie poszła myśl nestoriańska). Obie drogi, naturalny mistycyzm i racjonalistyczny moralizm, odznaczają się tym, że próbują obejść zgorzniecie podjęcia decyzji wiary w jedność i jedynego Pana, który jest Bogiem i Człowiekiem, i nie są zdolne do zrozumienia „całego Chrystusa”. Obie błędne drogi okazują się jednak nieuniknione, skoro tylko zrezygnuje się ze starożytnego dogmatu, który jedynie jest w stanie zachować tajemnicę Chrystusa — jako tajemnicę wiary — w całej jej głębi. Również tylko w świetle tej tajemnicy Osoby Chrystusa można

zrozumieć tajemnicę Jego dzieła — zbawienia.

Dzieło Zbawiciela

Z nauki o Chrystusowym dziele zbawienia chcemy tu wyodrębnić tylko te rysy, które są ważne dla zrozumienia problemów realizacji zbawienia oraz problemów Kościoła.

Najpełniejszym wyrażeniem biblijnym dla dzieła zbawienia, którego dokonuje Chrystus jako Bóg i jako Człowiek, jest funkcja pośrednika, jak świadczy o tym 1 Tym 2,5: „Bo jeden jest Bóg; jeden i pośrednik między Bogiem i ludźmi, człowiek Chrystus Jezus, który wydał samego siebie na okup za wielu”. Na podstawie tego miejsca kładziono przede wszystkim na Zachodzie (Augustyn) akcent na to, że Chrystus jest naszym pośrednikiem przez swoje człowieczeństwo. Oznacza to przyjęcie przez Niego jako przez Syna Bożego i zjednoczenie z Jego Bóstwem pełne człowieczeństwo. To pełne człowieczeństwo przyjął On w zastępstwie, jako Syn Boży, w mesjańskim posłuszeństwie, aby właśnie w ten sposób stać się naszym pośrednikiem i Zbawicielem. Jako człowiek jest On jednak doskonale w podwójnym znaczeniu: jest On doskonale jako rzeczywisty i jako prawdziwy człowiek.

Rzeczywistym człowiekiem jest On w tym, że „składając się z rozumnej duszy i z ciała... jest nam we wszystkim podobny, z wyjątkiem grzechu”. Jako rzeczywisty człowiek jest On zbudowany tak samo jak my (składa się z duszy i z ciała), jest podporządkowany tym samym prawom stworzenia co my, cierpi z powodu tych samych słabości co my (jest zmęczony, głodny), poruszają go te same uczucia co nas (radość i smutek, miłość i gniew), podlega tym samym zasadom myślenia i mówienia co my. „Z wyjątkiem grzechu” oznacza: nie grzeszy jako ten, który w mesjańskim posłuszeństwie wobec swego Ojca w niebiosach stał się rzeczywistym człowiekiem, ale jako rzeczywisty człowiek bierze na siebie skutki naszego grzechu. Znosi z nami i dla nas całe przekleństwo Boże, które na nas ciąży, cierpienia, śmierć, pokusę, aż do najgłębszego opuszczenia przez Boga. Jak długo żyje, jest kuszony jak my, bierze na siebie straszną możliwość grzechu, przewycięża ją jednak przez to, że nie grzeszy. Jego możliwość ulegania pokusom była ograniczona przez Jego niemożliwość ulegania pokusom, uzasadniona Jego mesjańskim posłuszeństwem. Jako rzeczywisty człowiek bierze na siebie również cierpienia i śmierć. Chociaż cierpienia i śmierć są Mu całkowicie obce, jako nigdy nie grzeszącemu, bierze na siebie w całości możliwość cierpienia i śmierci rzeczywistego człowieka z całym ich ciężarem i w swoim mesjańskim posłuszeństwie umiera niezасłużoną śmiercią na krzyżu, aby jednak nie pozostać w śmierci jako posłuszny lecz zwycięsko zmartwychwstać.

Właśnie dlatego, że pozostaje On posłuszny do końca, jest równocześnie prawdziwym człowiekiem: i człowiekiem, jakiego chcemy mieć Bóg, człowiekiem podleg-

łym woli swojego Ojca w niebiosach, „Świętym Bożym”, i jako takiego uznają Go nawet demony (Mk 1,24). Jako prawdziwy człowiek jest On zupełnie czysty w swoich myślach i w swoich czynach. Jako posłuszeństwo dana Mu była — jak to później sprecyzował Kościół — na miarę Jego Mesjańskiego zadania pełnia wiedzy i pełnia władzy. Mówi On i działa w całkowitym podporządkowaniu się woli posłannictwa swego niebieskiego Ojca, jako doskonale wiedzący oraz doskonale władający. Jego prawdziwe człowieczeństwo nie jest w czasie Jego doczesnej wędrówki osłonięte przez ziemską egzystencję Jego rzeczywistego człowieczeństwa. Ostatecznie zostało to objawione w Jego zmartwychwstaniu i wywyższeniu, które dopiero ukazuje nam Go jako prawdziwego człowieka w Jego objawionej doskonałości.

Jak świadczy Nowy Testament, a szczególnie Paweł, jest On zmartwychwstały jako ukrzyżowany, jest On jak dzisiaj możemy powiedzieć, prawdziwym człowiekiem jako człowiek rzeczywisty. W Nim, zmartwychwstałym i wywyższonym, to co w naszej ludzkiej egzystencji jest beznadziejnie rozdarłe, nasze rzeczywiste i nasze prawdziwe człowieczeństwo, doprowadzone jest do zwycięskiego wyrównania, do jedności. I właśnie w tym, że On tę jedność, jako posłuszny Syn Boży, który w naszym zastępstwie jest rzeczywistym i prawdziwym człowiekiem, znów przywrócił, jest On naszym Pośrednikiem i Zbawicielem. Jest On więc naszym Zbawicielem nie tylko przez to, że jako Syn Boży, za pośrednictwem przyjętego przez siebie człowieczeństwa działa na nas, lecz także przez to, że jako doskonały człowiek, w którym stapiają się w jedność rzeczywisty i prawdziwy człowiek, staje z nami w jednym rządzie: nie tylko jako nasz Brat lecz także jako po prostu człowiek, jako nowy Człowiek, w którym w niepowtarzalny sposób wydarzyło się to, co się wszystkim musiało przydarzyć, gdy stają się ludźmi, gdy z rzeczywistych ludzi mają stać się prawdziwymi ludźmi. Jako przeciwieństwo pierwszego Adama — „przyszłym Adamem” (Rz 3, 14), „Pierworodnym między wielu braćmi”, „podobieństwem” Boga, „na którego podobieństwo wszyscy mają być ukształtowani” (Rz 8,29), „głową ciała”, Kościoła, jak jest głową nowego stworzenia. W tej pozycji wyższość, którą zajmuje Syn jako doskonały człowiek, dokonuje swego dzieła zbawienia w beśpośrodkowości, w której znajduje się jako człowiek do człowieka, gdy jako głowa tych wszystkich, którzy wybrani są do tego, poprzez przebaczenie grzechów i nadanie życia (według Pawła — poprzez usprawiedliwienie i uświęcenie) stwarza z nich nowych ludzi i wciela ich do nowego pokolenia ludzi, którego jest głową.

Tylko ten, kto widzi Jezusa Chrystusa, Boga-Człowieka, zawieszę również jako pierwszego w nowym pokoleniu ludzi, jako głowę stworzenia i jako głowę Jego ciała — Kościoła, pojmuje całego Chrystusa”.

„Posłannictwo”, nr 1/1976

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

KRAJ

ŚWIAT

Miesiąc w areszcie spędził obywatel Jeleniej Góry, który wylegitymował się milicjantem na stadionie w Cieplicach Zdroju zamiast dowodem osobistym (którego nie miał przy sobie) książeczką wojskową. Kolegium ds. wykroczeń ukarało go grzywną 15 tys. zł, ale ponieważ jako rencyści nie było go stać na zapłacenie, musiał ją odsiedzieć. Sprawa trafiła do prokuratury, gdyż ani grzywna nie była proporcjonalna do „przestępstwa”, ani książeczką wojskowa nie jest gorszym dowodem tożsamości. Toczy się dyskusja, gdzie leżą granice postępowania kolegiów.

Stan bezpieczeństwa i higieny pracy, zwłaszcza w rolnictwie indywidualnym, jest wysoce niepokojący. Według danych ZUS w 1986 r. w tym sektorze rolnictwa miało miejsce 67 tys. wypadków przy pracy o stałym lub długotrwałym uszczerbku na zdrowiu (wzrost od 1985 o 5,8%) oraz 550 wypadków śmiertelnych (wzrosło o 3,7% w stosunku do roku 1985). Nieco tylko bezpieczniej jest w rolnictwie społeczno-gospodarczym, ponieważ 26—17 wypadków na 1000 zatrudnionych to i tak więcej, niż w innych działach gospodarki narodowej.

Rozważa się możliwość posiadania w domu przez obywateli paszportów do wszystkich krajów świata ważnych przez 5 lub 10 lat. W minionym roku wolaże zagranicę odbyło 5,175 mln Polaków. Podróżowali oni przede wszystkim do NRD i Czechosłowacji (ponad 990 tys.), do Węgry (ponad 800 tys.), do ZSRR (ponad 440 tys.). Jeśli chodzi o kraje kapitalistyczne, to najwięcej Polaków wyjeżdżało do RFN (ponad 400 tys.), do Grecji (ponad 100 tys.), Włoch (blisko 70 tys.), i USA (ponad 45 tys.). W roku 1987 Polskę odwiedziło 4 mln 832 tys. cudzoziemców.

W Katolickim Uniwersytecie lubelskim w Lublinie odbyło się trzydniowe sympozjum nt. „Teologia i kultura chrześcijańska dawnej Rusi z perspektywy minionych wieków”, zorganizowane z okazji przypadającego w tym roku 1000-lecia chrztu Rusi. W sympozjum uczestniczyli przedstawiciele Episkopatu Polski, delegacja Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego z biskupem Anatolijem z Moskwy, a także przedstawiciele innych wyznań.



Znany rysownik Gwidon Miklaszewski, z którego Syrenka zżyli się czytelnicy „Ekspressu Wieczornego”, jest jednym z tegorocznych laureatów nagrody miasta Warszawy

Kiepskie zbiory zbóż w 1987 r. zmniejszą światowe zapasy żywności o 14 proc. — ocenia mająca siedzibę w Rzymie Organizacja Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa (FAO).

W Moskwie poinformowano, że Prezydium Rady Najwyższej ZSRR utworzyło Związkowo-Republikański Państwowy Komitet ds. Szkolnictwa, likwidując jednocześnie kilka centralnych urzędów kierujących do tej pory oświatą.

Amerykański Departament Sprawiedliwości poinformował, że najbliższe rodziny czworga spośród siedmiu ofiar katastrofy amerykańskiego wahadłowca kosmicznego „Challenger” otrzymały odszkodowanie w wysokości 7,7 mln dolarów. Odszkodowanie zostało wypłacone w 40 proc. przez rząd amerykański, a w 60 proc. przez koncern „Morton Thiokol”, producenta wadliwego elementu rakiety startowej, który uznano za przyczynę katastrofy, jaka wydarzyła się 20 stycznia 1986 r.

Skutki uszkodzenia systemu klimatyzacyjnego w słynnym mediolańskim muzeum Brera okazały się fatalne dla eksponowanych tam arcydzieł: 20 malowideł na deskach z XV i XVII w. (w tym dzieła Piera della Francesca) uległo „ugotowaniu się”, co spowodowało łuszczenie się farby. Związek zawodowy zrzeszający 113 strażników z muzeum Brera obciąża za to winą dyrekcję oświadczaając, że nie tylko urzędnicy klimatyzacyjne źle funkcjonowały, ale również hydrometry nie nadawały się do użytku. Minister dóbr kulturalnych polecił przeprowadzić śledztwo w celu ustalenia zarówno stanu kolekcji, jak i stopnia odpowiedzialności dyrekcji za zniszczenie bezcennych dzieł.

Na ratuszu miasta Issoudun w departamencie Indre w środkowej Francji odbyła się licytacja wielu dokumentów i przedmiotów związanych z Fryderykiem Chopinem i George Sand. Zbiór przechowywany był przez ponad 100 lat przez potomków francuskiej pisarki, przyjaciółki Chopina. Znaczna część zbioru — 21 dokumentów — została zakupiona dla warszawskiego Muzeum Fryderyka Chopina. Już pobieżna lektura kilku najcenniejszych nabytków, listów George Sand, rzuca zupełnie nowe światło na okoliczności zerwania między pisarką a Chopinem.



Kampania prezydencka w Stanach Zjednoczonych nabiera rozmachu. Przed wyborami ogólnokrajowymi, jakie odbędą się 8 listopada, duże szanse daje się kandydatowi partii republikańskiej, obecnemu wiceprezydentowi George'owi Bushowi.

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

W TELEGRAFICZNYM SKRÓCIE

Zanurzeni w śmierci i zmartwychwstaniu Jezusa

Zmartwychwstanie Chrystusa dlatego tak mocno ekscytuje ludzką wyobraźnię, bo jest gwarancją naszego zmartwychwstania. Nie ma bardziej przyjemnej dla nas, ludzi, prawdy wiary nad tę, gwarantującą nam życie wieczne z Bogiem, wysłużone przez Zbawiciela. To, co było marzeniem ludzi od zarania dziejów — wbrew prawom biologicznym — stało się nie tylko możliwe, ale już znalazło urzędowe potwierdzenie w jednym z nas — Synu Człowieczym. Bóg nie na darmo wlał w ludzkie serca tęsknotę za nieśmiertelnością i to taką prawdziwie ludzką, duchową i cielesną zarazem. Nie pominęliśmy w naszych medytacjach żadnego ważniejszego świadectwa biblijnego, dokumentującego historyczność pierwszego ludzkiego przejścia ze śmierci do życia, „w którym nie będzie odmiany ani cienia przemiany” przez wieczność całą. Przez swoje zmartwychwstanie Chrystus udowodnił, że nas również nie czeka wyłącznie egzystencja cieni pozabawionych ciał, ale prawdziwe, chociaż odmienne od ziemskiego, życie. Chcę żyć! — wołają kolejne miliony umierających istot ludzkich. Chcemy, by oni żyli! — powtarzamy nad mogiłami krewnych i znajomych, którzy od nas odeszli. Nikt inny, tylko Chry-

stus niesie jednym i drugim jakże kojące, przepędzające rozpacz, strach i smutek słowa: „Jam jest zmartwychwstanie i życie, kto we mnie wierzy choćby i umarł, żyć będzie, a każdy, kto wierzy we mnie, nie umrze na wieki!”

Będziemy żyli! Czekają nas żywot wieczny! Jest jednak jedno, wielkie ale. Z tej racji nie wolno zakończyć rozważań o cudzie Chrystusowego zmartwychwstania bez dopowiedzenia tego właśnie „ale”. Zmartwychwstanie naszego Zbawiciela zapewnia i gwarantuje powrót do życia, czy raczej przejście do życia wiecznego wraz z ciałem wszystkich ludzi, ale nie zapewnia wszystkim wiecznej szczęśliwości. Ta w dużej mierze zależy od nas samych. Od naszego stosunku do Chrystusa już tu, na ziemi. Perspektywa osiągnięcia wieczności bez blasku chwały nie rysuje się zachęcająco. Co zrobić, by uniknąć takiego zmartwychwstania, a znaleźć się w domu Ojca niebieskiego w gronie świętych i wybranych? Szeroko o tym mówić będziemy w nauce o rzeczach ostatecznych — eschatologii. Dziś tylko krótko podam niektóre zasadnicze wskazówki, czerpane z objawienia, zwłaszcza

z katechezy apostoła Pawła. By zmartwychwstać z Jezusem, trzeba żyć i umierać z Jezusem. Trzeba codziennie umierać dla grzechu, a żyć dla Boga. Innej drogi do udziału w chwalebnym zmartwychwstaniu — na wzór Jezusa — nie było, nie ma i nie będzie. Sięgnijmy po teksty biblijne. List do Rzymian, rozdział 6: „Czy nie wiecie, że wszystkich nas, których przez Chrzest zanurzone w Chrystusie Jezusie, w Jego śmierci zanurzone? Pogrzebano nas z Nim razem dzięki zanurzeniu w śmierci, dlatego, abyśmy wzorem Chrystusa zmartwychwstałego postępowali według zasad nowego życia. Jeśli bowiem jak szcep zrosiliśmy się z podobieństwem Jego śmierci, to tak samo zrosimy się z Jego zmartwychwstaniem. Wiemy o tym, że stary nasz człowiek został z Jezusem współukrzyżowany, aby zniszczyć ciało grzechu. Ten bowiem, kto umarł, wolny jest od grzechu. Jeśli zaś umarliśmy z Jezusem, wierzymy, że wraz z Nim żyć będziemy. To bowiem, co umarło dla grzechu, raz na zawsze umarło dla grzechu, to zaś co żyje, żyje dla Boga. Również i wy uważajcie się za takich, którzy umarli dla grzechu, a żyją dzięki przyjętemu sakramentowi Chrztu, dokonało się w

nas mistyczne zmartwychwstanie do nowego życia we wspólnocie z Bogiem.

Autor Listu do Rzymian nawiązuje do obrazu, którego użył sam Chrystus: „Ja jestem winnym szcepem, a wy jesteście latoroślami. Jeśli latorośl tkwi w winnym szcepie, owocuje. Tak i wy wiele owoców przyniesiecie, jeśli we mnie tkwić będziecie”. Chrzt wszczepi nas w Chrystusa, dlatego jest tak ważny i niezastąpiony w życiu Kościoła. My też otrzymaliśmy chrzt święty. Jesteśmy wszczepieni w Chrystusa umarłego i zmartwychwstałego. Czy pogłębiamy skutki tego nadprzyrodzonego dzieła? Powinniśmy się spieszyć, bo czasu nigdy nie jest za wiele. Ciągłe umieramy dla grzechu i ciągle pozwólmy działać w nas Jezusowi, niech nas upodabnia, na razie duchem, do swojej postaci uzyskanej w Wielką Noc. Kiedyś będzie to mógł uczynić również z naszym ciałem. Niech o każdym z nas już teraz Zbawiciel powie Ojcu w niebie: Ten człowiek prawdziwie zmartwychwstał do życia łaski.

Ks. A. BIELEC

Trudne pytania

Mauzoleum w Łazienkach?

12 lutego minęła 190 rocznica śmierci Stanisława Augusta Poniatowskiego. Ponownie, bo przed siedmioma laty na łamach tygodnika „Stolica” prezentowano wypowiedzi czytelników w tej sprawie. Podjęcie tego tematu raz jeszcze wywołało szeroki rezonans społeczny. Wrócić też, i jest to echo dysput sprzed 50 laty, spory o miejsce, w którym miałyby spocząć szczątki ostatniego króla.

Już wcześniej wśród osób żywo zainteresowanych ideą pogrzebania szczątków króla w kraju zarysowały się różnorodne opinie. Jedni byli za pochowaniem ich w krypcie Katedry Wawelskiej, jako że miejsce to jest narodową nekropolią. Zarzut, że Stanisław August na to nie zasługuje ze względu na błąd polityczny, jakim było przystąpienie do Targowicy, odpierano logiczną argumentacją, że leżą tam również i „żli” królowie, choćby August II, który pierwszy wysunął haniebny pomysł rozbioru ziem Rzeczypospolitej.

Drugie stanowisko — to pochowanie króla w Bazylice Świętojańskiej w Warszawie. Motywacja następująca: tu, a nie w Kra-

kie, odbyła się jego koronacja. To była jego przyzwoita świątynia, w której przez cały okres swego panowania modlił się i do której w otoczeniu twórców Konstytucji 3 Maja przybył, by uczestniczyć w dziękczynnej mszy.

Tu leży pierwszy prezydent odrodzonego państwa Gabriel Narutowicz, tu powinien spocząć ostatni król.

Ale pokutuje jeszcze w wielu kręgach przekonanie, by prochów króla nie ruszać, nie sprowadzać do kraju „zdrajcy”. Wrogi do osoby ostatniego monarchy stosunek został utwierdzony poglądami kilku pokoleń walczących o niepodległość. Nastroje romantycznie bohaterowie nie mogli Stanisławowi Augustowi wybaczyć, że nie zginął na szpicach, lecz dał się pojmać.

Dzisiaj jesteśmy bogatsi w rozumienie sytuacji, w jakiej znaleźli się król i naród w momencie katastrofy. Ludziom przeżywającym ów kataklizm łatwo było rzucić winę na jednego. Sarkano nań i wcześniej, lecz gdy podejmował próby reformy państwowej w kierunku usamodzielnienia polityki zewnętrznej, wówczas rzucono mu pod nogi przysłowiowe kłody. Dlatego coraz częściej reprezentowany jest pogląd rozgrzeszający króla, a nawet sądzi się, że gdyby nie śmierć króla w momencie nastania nowego władcy Rosji, losy

Polski potoczyłyby się inaczej i z pewnością inny byłby osąd potomnych.

A zatem konieczność sprowadzenia króla do Polski jest bezdyskusyjna. Natomiast problem, gdzie króla pochować jest jeszcze otwarty. Kolejnym z proponowanych miejsc były Łazienki. Idea ta zrodziła się m.in. pod wpływem listu, w którym 11 października 1784 r. król pisał do Bacciarelego: „Myślę, że im będę starszy, tym milszą i potrzebniejszą będzie mi mała kaplica zupełnie blisko pawilonu łażienkowskiego. Trzeba, żeby miała najwyższej to rozmiary co obecnie mały Teatr, ale żeby był to klejnot zarówno konstrukcji jak i dekoracji, tak samo wewnętrznej jak i zewnętrznej, tak że nawet należałoby użyć prawdziwego marmuru, przynajmniej przy portalu. Kolumn mnożyć nie trzeba, ale to co się tam znajdzie, powinno być doskonałe w swym wykończeniu. Trzeba dla tej kaplicy postarać się o nowy pomysł, aby dawała wrażenie czegoś prostego, skromnego, nawet odludnego, a zarazem wrażenie wielkiego piękna. Są to jedynie sugestie. Ale mogłyby odpowiadać smakowi i wyobraźni Kamsetzera”.

Szybkimi krokami zbliża się „gozina, której żaden ze śmiertelnych dwa razy nie usłyszy”. To jest tylko 14 lat. Pierwszego stycznia roku 2001 rozpocznie się wiek XXI. (Właśnie tak, a nie w roku 2000. U schyłku wieku XIX także trwały spory, kiely właściwie zaczyna się wiek XX). Jeszcze nie pora na podsumowania, ale już czas na refleksje. Ci z nas, którzy ową godzinę usłyszą, będą mieli dość okazji do remanentów, podsumowań i ocen kończącego się wieku. Środkim masowego przekazu z pewnością przygotowują ankiety typu „10 naj”. Na plus i na minus. Niektóre „naj” można już wymienić: rozbicie atomu, telewizja, elektronika, komputery, geetyka, podróże kosmiczne. I rewolucja październikowa, powstanie systemu państw socjalistycznych. Ale też: ani jednego roku bez wojen. Wewnętrznych, kolonialnych, światowych.

nym przez Napoleona. W wiek XX wchodziliśmy w takt Chochołego tańca z „Wesela”. Zamknął się krąg nadziei i trwóg. A z czym wejdzimy w wiek XXI? Jakie nasze dokonania i jakie klęski obciążą konto nowego wieku?

Nasi dziadowie przeżywali przełom wieków, po raz pierwszy chyba w dziejach, w pełni świadomie. Mieli poczucie zbliżania się owej niepowtarzalnej „godziny”. Wśród mieszczaństwa europejskiego, inteligencji twórczej tamtych lat narastały nastroje zwątpienia, rozpacz, lęków i fobii, słowem: dekadentyzmu.

Poczucie zagłady, wielkie pytania o rolę sztuki, stawiane w atmosferze napięć psychologicznych i społecznych, problemy roli i miejsce artysty w świecie, sprawa stosunku jednostki do świata. Mnie do Innych, trudne problemy egzystencji i wyborów

Łacińską, Afrykę i na Daleki Wschód. Europa poszarzała. Znika plastyczność i barwność sztuki przełomu XIX i XX wieku. Koloryt naszej sztuki wyznacza barwny program telewizyjny.

Dekadentyzm, nihilizm, sceptycyzm, absynt i narkotyki. Rozpacz pozorowana i rozpacz prawdziwa. Wspominał po latach Alfred Wysocki: „Pozowaliśmy na dekadentów, którym wszystko zbrzydło i wszystko się znudziło. Strolliliśmy się w szatę Płoszowskich i okłamywaliśmy się także sami...” A więc sztuka pozorów i pozory sztuki. Rozpacz prawdziwa. Samobójstwo. Fala samobójstw.

Dziś, u schyłku kolejnego wieku takich konfliktów prawdziwych i pozorowanych, znajdujemy niewiele. Odbiorca uodpornił

niezrozumiani. Ten konflikt stał się wówczas tematem wielu utworów literackich: Berent, Przybyszewski, Tetmajer — oto pierwsze nazwiska.

A dzisiaj? Czy istnieje konflikt: Artysta — Odbiorca? Czy w zhomogenizowanej, utartej na papkę kulturze „masowej” taki konflikt jest możliwy i potrzebny? Kogo, poza samym sobą reprezentuje dziś twórca? I kogo naprawdę obchodzą męki twórcze w tym „ye, ye”? A może w tych relacjach współczesnych twórców i publiczności odbija się ogólniejszy kryzys roli inteligencji twórczej jako grupy społecznej?

I dziś także obserwujemy formy ucieczki indywidualnej i grupowej od trudnych spraw schyłku wieku, w filozofię Dalekiego Wschodu, w azjatyckie religie i

Fin de siècle

A prognozy na wiek XXI? Pozostawmy je wróżbitom i specjalistom futurologom. U schyłku ubiegłego stulecia także zastanawiano się, jaki też będzie ten wiek XX? W roku 1899 pisał dziennikarz „Kuriera Warszawskiego”: „Pod grozą wojny europejskiej upłynęły ostatnie dziesiątki lat wieku XIX; wiek nowy rozpoczyna się pod grozą wojny wszechświatowej i mimo wszelkich zapewnień pokojowych uzasadniona jest obawa, że ten wiek, w którego prógi dziś wступujemy, zapłaci krwią i dobrobytem ludów za winy przeszłego stulecia”.

Były też prognozy optymistyczne. Oto jak widział nowy wiek XX Bolesław Prus: „Oświata, dobrobyt i moralność będą udziałem ogółu; prawa i obowiązki każdej jednostki staną się jednakowe bez względu na jej zawód, wyznanie, narodowość itd. Narody Europy utworzą federację, której głównym zadaniem będzie przede wszystkim urzeczywistnienie pokoju i zgody. Wszyscy ludzie będą prowadzić życie zgodne z zasadą: osiem godzin pracy, osiem snu, osiem godzin odpoczynku. Długość życia wzrośnie, najniebezpieczniejsze choroby osłabione będą.

Będą także wynalezione przyrządy do przenoszenia się w powietrzu z miejsca na miejsce szybko i bezpiecznie. Dowiemy się, skąd powstały planety i czy Mars jest zamieszkały”.

Każde właściwe zdanie owej „przepowiedni” wymagałoby specjalnych omówień i refleksji. Warto chyba zastanowić się nad tymi słowami mądrego Prusa.

W kulturze europejskiej wiek XX rozpoczął się najpiękniejszym chyba „błękitnym” okresem Picassa. Ten błękit budził nadzieję. A dla nas Polaków? Wmaszerowaliśmy w wiek XIX z Mazurkiem Dąbrowskiego, z wiarą i optymizmem podtrzymywa-

— wszystko to stłoczone w ciasnych ramach czasowych, splecione setkami nici zależności i współtolerancji, tworzyło ową szczególną atmosferę dekadencji.

Pisał Sienkiewicz: „Co są w ogóle dekadenci? — Pod pewnym względem są to ludzie, którzy wolą od sztuki samej rozmaite sosy, którymi sztuka bywa przyprawiona”.

Czyż tego sądu nie można przemieścić na nasz schyłek wieku, na nasze „ye, ye”, na teleklipsy, telehity, naszą kulturę obrazkową?

I jeszcze jeden cytat z roku 1899: „Gdybyśmy chcieli w jednym wyrazie zawrzeć charakterystykę nastroju naszych „najmłodszych”, z łatwością znaleźlibyśmy wyraz gotowy: smutek. W literaturze lat ostatnich trudno znaleźć utwór, który by mógł ukoić znękanę serce i rozmarszczyć sfaldowane czoło. Z beletrystów — Żeromski, Sieroszewski, Reymont należą do tego pokolenia”. A dzisiaj? Gdzie w literaturze szukać ukojenia dla znękanego serca?

Ten smutek inteligentów-artystów z rozdartego zaborami kraju, z państwa nie istniejącego na mapach Europy, łączy ich z nastrojami panującymi w całej Europie. Przybyszewski, Nietzsche, Munch, Verlaine i Viegeland. W dobrym towarzystwie znaleźli się „nasi najmłodszy”. Młoda Skandynawia, Młode Niemcy, Młoda Francja, Młoda Polska wreszcie.

A dzisiaj Europa przestała już być pępkiem świata. Staje się kulturalną prowincją. Oczy twórców (a i odbiorców także) coraz częściej zwracają się na Amerykę



się na dziwactwa sztuki. Nic nie jest go w stanie zadziwić i zaszokować. A i Awangarda współczesna zatraciła ostrość spojrzenia i chwytu. Nie „sercem gryzie”, jeno kłapie sztuczną szczęką Nowoczesności.

Ale i dziś nie brak „modernistycznego cierpienia”: Hłasko, Wojacek, Stachura — oto pierwsze nasuwające się nazwiska. Ci ludzie musieli cierpieć naprawdę. Nie zgadzali się na samych siebie i na swoje role w życiu i społeczeństwie.

Młodzi inteligenci tamtego schyłku wieku uciekali w Sztukę: „Panią naszą. Wyzwoliciełkę naszą”. I popadali w konflikt między twórcą i odbiorcą. Byli

splosby myślenia o świecie i sobie samym. I to także było udziałem tamtego fin-de-siecle'u. Pisał Krzywicki: „Nabożeństwo dla Nirwany (...) spirytyzm szerszych kół tu i ówdzie, neokatolicyzm i w ogóle powracająca wśród świata artystycznego fala mistycyzmu dogmatycznego, wszystkie te prądy są tej samej natury. Wszędzie nie dogmat przekonał umysły i nie on je nawrócił. Nie o niego nawet tam chodzi”.

Nic dodać, nic ująć! To także i nasza sytuacja. Tak oto, ponad burzami dziejowymi, wstrząsami i niepokojami, nadzieją i otuchą, podają sobie ręce dwa fin-de-siecle.

Oprac. E.S.



W tej części miasta nie wolno im mieszkać



Wolno natomiast zawsze i wszędzie ich bić...

W 45 rocznicę Powstania w

Przed wybuchem II wojny światowej w Polsce zamieszkiwało około 3,5 mln Żydów, a więc przeszło 10% ogółu ludności. Od września 1939 roku w okupowanej Polsce Niemcy wprowadził dla tej ludności zarządzenia dyskryminujące, mające na celu wyodrębnienie Żydów ze społeczności polskiej. Żydzi zostali zobowiązani do noszenia na plecach i piersiach wierzchniego okrycia żółtej gwiazdy Dawida, bądź też noszenia opaski z niebieską gwiazdą Dawida na lewym ramieniu. Niemcy znakują także sklepy Żydów oraz konfiskują ich majątek. Wszyscy Żydzi w wieku od 14 do 60 lat podlegają przymusowi pracy na rzecz gospodarki niemieckiej. Zabroniono im korzystania z kolei i niektórych ulic oraz placów, ograniczono swobodę poruszania się, hitlerowcy znęcali się nad ludnością żydowską.

W dniu 21 września 1939 roku Reinhard Heydrich — autor „Wytucznych postępowania z Żydami” — nakazał skupienie ludności żydowskiej w gettach większych miast. Już pod koniec 1939 r., hitlerowcy przystępują w niektórych miastach do izolowania Żydów od Polaków i zakładania odrębnych dzielnic żydowskich. Zamknięcie ludności żydowskiej w gettach nasiliło się na przełomie roku 1940/41.

W dniu 2 października 1940 roku gubernator dystryktu warszawskiego Ludwig Fischer wydał zarządzenie o utworzeniu zamkniętej dzielnicy żydowskiej w Warszawie. Zarządzenie zobowiązywało Polaków do opuszczenia wyznaczonej na getto dzielnicy, a wszystkich Żydów zamieszkałych poza jej obrębem do przeprowadzenia się do niej.

W początkowym okresie tereny getta warszawskiego rozciągały się na ponad 1/3 części lewobrzeżnej Warszawy i zamieszkiwało je około 410 000 ludności uznanej przez Niemców na podstawie ustaw norwimberskich za Żydów. W dniu 26 listopada 1940 r. dzielnica żydowska została odgródzona murem od reszty miasta.

Warunki życia w getcie stały się wkrótce nie do wytrzymania. Gubernator Ludwig Fischer oznajmił, że „Żydzi muszą się dostosować do wszelkich sytuacji, a my postaramy się stworzyć takie warunki, aby to było bardzo trudne... Żydzi będą ginęli z głodu i nędzy, a z kwestii żydowskiej pozostanie cmentarz”. I rzeczywiście tak się też stało. Tylko w roku 1941 zmarło w getcie warszawskim około 45 000 osób. Od stycznia 1940 do lutego 1943 zmarło „śmiercią naturalną” 96 000 osób.

Wiosną i latem 1942 r. hitlerowcy przystąpili do akcji likwidacji getta i mordowania Żydów. Widmo zagłady zawisło także nad gettem warszawskim. W dniu 22 lipca 1942 r. Niemcy przystąpili do tzw. „wysiedlenia”, czyli wywożenia mieszkańców getta do obozu zagłady w Treblince. Codziennie odchodziły transporty składające się przeciętnie z 5000 do 6000 „wysiedleńców”. W okresie od 22 lipca do 3 października 1942 r. wywieziono 310 322 warszawskich Żydów na śmierć do Treblinki.

Po zakończeniu deportacji, 5 listopada 1942 r., historyk Emanuel Ringelblum napisał: „Wydaje się, iż Żydzi nieco ochłonęli po ciężkich ciosach... Ogół zdaje sobie sprawę, że pójdzie na rzeź nie pomniejszono nieszczęścia, lecz zwiększyło je. Z kimkolwiek mówisz, wszędzie spotykasz się ze zgodnym zdaniem: Nie należało dopuścić do wysiedlenia, należało wyjść na ulicę, podpalić wszystko, wysadzić w powietrze mury i przedrzeć się na tamtą stronę. Niemcy zemsiliby się za to. Pochłonęłoby to dziesiątki tysięcy ofiar, ale nie 300 tys. Obecnie jesteście okryci hańbą i sromem przed sobą i przed całym

światem. Nasza uległość na nic się nie zdała. Obecnie nie może się to powtórzyć. Teraz należy stawić opór, wszyscy jak jeden mąż muszą bronić się przeciw wrogowi”.

W październiku 1942 r. grupy bojowe poczęły pospiesznie przygotowywać się do akcji czynnej. Nastąpiło połączenie niemal wszystkich organizacji i powołano Żydowski Komitet Narodowy (ZKN). Z powodu odmowy przystąpienia Bundu do ZKN uzyskano z nim współpracę przez stworzenie Żydowskiego Komitetu Koordynacyjnego (ŻKK), do którego weszli przedstawiciele ZKN i Bundu.

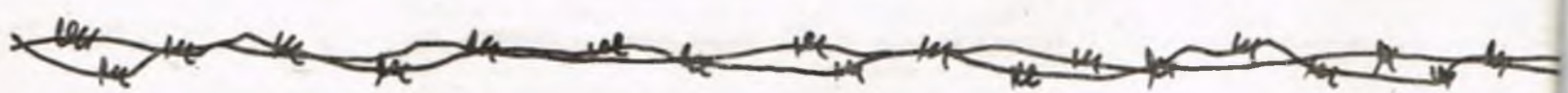
Żydowski Komitet Koordynacyjny uznał Żydowską Organizację Bojową (ŻOB powstała VIII-X 1942 r.) za swój organ bojowy, którego komendę objął Mordechaj Anielewicz, jego zastępcą został Ischhak Cukierman, wywiad objął Marek Edelman (jedyny żyjący dziś dowódca powstania w getcie warszawskim), finanse — Jochanan Morgensztern, pianowanie — Hersz Berliński.

Obok ŻOB, oddziały bojowe utworzył Żydowski Związek Wojskowy (ZZW), który powstał w ścisłym związku z Polską Organizacją Wojskową — Korpusem Bezpieczeństwa. ZZW skupiał w getcie wielu byłych oficerów i podoficerów rezerwy Wojska Polskiego.

Jesienią 1942 r. podziemie w getcie warszawskim było zdecydowane walczyć z bronią w ręku w wypadku podjęcia przez okupanta nowych akcji eksterminacyjnych. Gdy 18 stycznia 1943 r. oddziały SS i policji wkroczyły do getta warszawskiego w celu przeprowadzenia deportacji Żydów do obozu zagłady, po raz pierwszy napotkali opór. Walkom przewodziła ŻOB. Wydała ona ulotkę do mieszkańców getta, wzywając do czynnego oporu: „Żydzi! Okupator przystępuje do drugiego aktu naszej zagłady, nie idźcie bezwolnie na śmierć... Brońcie się... W walce macie możliwość ratunku... Walcie...” Niemcy zaskoczeni oporem bojowników żydowskich, zarządził po trzech dniach przerwanie akcji.

Ponownie hitlerowcy przystąpili do likwidacji getta warszawskiego 19 kwietnia 1943 r. Od godz. 2 nad ranem rozpoczęto otaczanie dzielnicy dodatkowym kordonem posterunków, rozstawionych co metrów i gęsto krążącymi patrolami. Zawiadomiona o tym ŻOB, godz. 2.30 zarządziła alarm, a o godz. 4 w pełnym pogotowiu oczekiwała na dalsze posunięcia przeciwników. Oddziały hitlerowskie liczyły około 3000 ludzi. Przeciwno nim stanęło około 1100 żydowskich bojowników, zorganizowanych w ŻOB (700) i ZZW (400). Szymon Ratajzer tak relacjonuje wydarzenia: „Po drugiej stronie murów widać Niemców i Ukraińców, którzy od czasu do czasu strzelają do naszych okien, ot dla zabawy. Mamy rozkaz nie podchodzić”. „(...) O godz. 4 rano, przez wyłot na Nalewkach, zaczęła się pochód hitlerowców na teren getta centralnego. Idą i idą do końca. Jest ich kilka tysięcy. Za nimi wtacza się kilka czołgów, samochody pancerne, działa, wreszcie kilkuset SS-Waffen na rowerach. Idą jak na wojnę — mówię do mojej towarzyszkii na pozostawienie — Cypora”.

Bojownicy żydowscy powitali Niemców ogniem karabinów maszynowych. Po uporządkowaniu oddziałów, hitlerowcy, przy wsparciu miotaczem ognia, rozpoczęli natarcie, które trwało dwie godziny i nie przyniosło rezultatu. O godz. 12 Niemcy wznowili natarcie wsparte ogniem działek przeciwlotniczych i czołgu. Mimo zaciętej obrony, żydowscy bojownicy wycofali się na pozycje przy ul. K. Bonifratskiej, Sapieżńskiej, Lubeckiego i na Stawkach. Obrona pomimo dotkliwych strat, utrzymała swe główne pozycje. Nie tr





Mieszkańcy getta za murami i drutami



Specjalnie wybudowanym mostem przechodziło się nad „aryjską” ulicą Chłodną z tzw. „małego” do „dużego” getta

getcie warszawskim

ko nie załamali się moralnie, lecz po zdobyciu doświadczeń z tego wstępnego boju, szykowali się do dalszych walk.

W dniu 20 kwietnia hitlerowcy przed rozpoczęciem walk wezwali przez głośniki, aby bojownicy złożyli natychmiast broń, gdyż w przeciwnym razie getto zostanie zrównane z ziemią. Odpowiedzią obrońców była decyzja kontynuowania walki. W tym dniu toczył się bój w wielu częściach getta. Około godz. 15 rozpoczął się bój na terenie szrotkarni. Broniło jej pięć grup pod dowództwem Marka Edelmana.

Po trzech dniach walk Niemcy zmienili taktykę. Przy pomocy rozmaitych posiadanych środków zapalających, łącznie z zapalającymi bombami lotniczymi, wzniesli pożary. W ten sposób zmuszali obrońców do opuszczenia zajmowanych pozycji. W ślad za postępującymi pożarami posuwały się oddziały szturmowe.

Po przyjęciu przez hitlerowców nowej taktyki, bojownicy żydowscy szukali ocalenia w schronach. O warunkach, które w nich panowały pisze Ratajzer: „Sytuacja w schronach jest rozpaczliwa i beznadziejna. Odczuwa się silny brak powietrza, wody i pożywienia. Mijają dni, jest dziesiąty dzień akcji. Getto spalone. Wszędzie zwęglone trupy na ulicach, w podwórzach i w piwnicach ludzie spalili się żywcem. Wobec tak strasznej sytuacji i wobec niemożliwości kontynuowania walki, jesteśmy zmuszeni z powodu dotkliwego braku amunicji, braku wody i pożywienia, niemożliwości zetknięcia się z wrogiem, który nie znajduje się na terenie getta dokonując dzieła zniszczenia z zewnątrz, do zastanowienia się nad wyprowadzeniem ludzi do lasu, celem dalszego kontynuowania walki”.

W dniu 8 maja hitlerowcy odkryli położenie schronu ŻOB przy ul. Miłej 18, w którym miał swą kwaterę główną Mordechaj Anielewicz, dowódca połączonych sił Żydów. Oto sprawozdanie ŻOB opisujące ten dramat: „Dnia 8 maja otoczyli Niemcy schron Organizacji Bojowej i zamknęli wszystkie pięć prowadzących do niego wejść. Wobec beznadziejnego położenia, by nie wpaść żywcem w ręce Niemców, wezwał Arie Wilner bojowców do popięcia samobójstwa”.

Pozbawione dowództwa organizacje bojowe stawiały nadal zacięty opór. Jednak szybko tracili siły, a poniesione straty, brak amunicji, żywności i wody, utrata schronów, odbiły się na stanie ilościowym i na wytrzymałości obrońców. Walki dobiegały końca.

W dniu 16 maja dowódca niemieckich oddziałów SS i policji — gen. Jürgen Stroop meldował: „Była żydowska dzielnica mieszkaniowa w Warszawie przestała istnieć. Wielka akcja została zakończona wysadzeniem w powietrze warszawskiej synagogi o godz. 20.15”.

Meldunek ten nie był ścisły. Jeszcze przez długie tygodnie dochodziło do walk na terenie getta. A w swym sprawozdaniu ŻOB zapowiadała: „Mimo najcięższych warunków, w jakich żyjemy i mimo ofiar, którymi placimy, jako działacze konspiracyjni i jako Żydzi, Żydowska Organizacja Bojowa prowadzi dalej swą działalność, przygotowując młodzież w pozostałych ośrodkach żydowskich do beznadziejnych walk, które niewątpliwie nastąpią”.

Powstanie w getcie warszawskim nie miało szans powodzenia. Jednakże dzięki bohaterstwu żydowskich bojowników, załamała się hitlerowska koncepcja zagłady, która polegała na tym, aby przed zniszczeniem fizycznym Żydów, dokonać ich unicestwienia moralnego. Wielkość powstańców polega na tym, że uratowali godność człowieka.



Pomnik Bohaterów Getta





Literatura polska poświęciła wiele kart tamtym dniom. Opracowaniem naukowym towarzyszyły edycje dzieł literackich Adolfa Rudnickiego, Kazimierza Brandysa, Władysława Szpilmana oraz poetów Włodzimierza Słobodnika, Antoniego Słonimskiego, Mieczysława Jastruna, Wisławy Szymborskiej. Przejmującym — poetyckim — dokumentem jest także „Pieśń o zamordowanym żydowskim narodzie” Iechaka Kacnelsona który jak miliony jego współbraci padł ofiarą hitlerowskiego ludobójstwa. Przejmująca i tragiczna jest wymowa owych strof — strof o zagładzie.

POCZĄTEK KOŃCA

Tak się zaczęło w pierwszym dniu zaraz, nazajutrz, znowu!
I coraz częściej —
Co dzień na nowo Każdego ranka wszystko od nowa się zaczyna.
Dopiero wczoraj! Lzy nie zdążyły obeschnąć dziś już nowe...
nieszczęście!

STROFY O ZAGŁADZIE

Fotografie z tamtych lat mają na sobie piętno śmierci. Patrzą oczami skazanego narodu. Wielkimi i przerażonymi — jak krzyk!

Wtedy przed czterdziestu pięciu laty ten krzyk wydobywał się spoza murów getta, dochodził zza kolczastych drutów, znaczył drogę zagłady.

Requiem dla trzech milionów Żydów polskich rozpoczęło się wraz z nastaniem nocy okupacji. Represję, szykany przekształciły się w krótkim czasie w programową eksterminację. Opaska z gwiazdą Dawida była „wstępem” do wysiedleń, tortur, rozstrzeliwań, krematoryjnego pieca. Ten rodzaj „przyszłości” hitlerowscy okupanci „zarezerwowali” dla milionów obywateli podbitych krajów, a dla Żydów w szczególności.

Do Oświęcimia, Majdanka, Treblinki z warszawskiego Umschlagplatz i jemu podobnych miejsc Europy dzień i noc przyjeżdżały transporty skazanych na zagładę żydowskich kobiet, mężczyzn i dzieci. Straszliwy był rozmiar tej zbrodni bez względu na to czy dokonano jej w komorach gazowych czy pod ścianą getta.

Taki oto los zgotował człowiek człowiekowi za to jedynie, że antropologicznie nie pasował do aryjskiego — nordyckiego „wzoru übermensch”.

To, co pozostało z tamtych lat jest wystarczająco wstrząsającym dokumentem zbrodni i bestialstwa. Jest także świadectwem ludzkiej martyrologii.

Cudem ocalałe wspomnienia, pamiętniki, notatki, zapiski dzienne spisywane w pośpiechu, zgodnie z zamierzeniami ich autorów miały dawać świadectwo potomnym. Te wypalone często kartki były także jedynym śladem jaki pozostał po człowieku. Ocalali przecież nieliczni. Śmierć w getcie była bowiem czymś powszednim. Ludzie marli z głodu, chorób, padali ofiarami „polowań”, które stanowiły zaledwie część środków hitlerowskiego ludobójstwa.

Tragedia ludności żydowskiej oraz innych narodów podbitej Europy do dziś nie stanowi zamkniętej karty. Nie tylko dla historyków. Także dla zwykłych ludzi. Wielu spośród nich było przecież świadkami tych straszliwych zdarzeń, wielu narażało życie dla ratowania ludzi zza muru. Koszmar getta odcisnął swe piętno na niejednej ludzkiej pamięci. Poprzez nią przeniknęła także do sztuki — malarstwa, literatury, filmu. W nich zostały również uwiecznione tragiczne dni zagłady getta, dramaty jego mieszkańców, a także determinacja i bohaterstwo tych, którzy skazani na śmierć zdecydowali się bronić już nie życia, a ludzkiej godności.

JESZCZE

W zaplombowanych wagonach
jadą krajem imiona,
a dokąd tak jechać będą,
a czy kiedy wysiedą,
nie pytajcie, nie powiem, nie wiem.

Imię Natan bije pieśnią o ścianę,
Imię Izaak śpiewa obłąkane,
Imię Sara wodzi woła dla ognienia
Aaron, które umiera z pragnienia.

Nie skacz w biegu, imię Dawida.
Tyś jest imię skazujące na klęskę,
nie dawane nikomu, bez domu,
do noszenia w tym kraju zbyt ciężkie.

Syn niech imię słowiańskie ma,
bo tu liczą włosy na głowie,
bo tu dzielą dobro od zła
wedle imion i kroju powiek.

Nie skacz w biegu. Syn będzie Lech.
Nie skacz w biegu. Jeszcze nie pora.

Nie skacz. Noc się rozlega jak śmiech
i przedrzeźnia kół stukanie na torach.

Chmura z ludzi nad krajem szła,
z dużej chmury mały deszcz, jedna łza,
mały deszcz, jedna łza, suchy czas,
Tory wiodą w czarny las.

Tak to, tak, stuka koło. Las bez polan.
Tak to, tak. Lasem jedzie transport wolań.
Tak to, tak. Obudzona w nocy słyszę
tak, to, tak. Lomotanie ciszy w ciszę.

Wstęp i wybór tekstów: EIDo

Nowy śmiertelny strach — już od świtu! Śmierć, jak cień wierna,
co dzień jest przy nas
Co dzień widzimy, że raz za razem coś się tam staje, śmierć krąży
co dzień.
Coś tam... Bo zginąć od kuli, skonać — to właśnie „coś tam”
jest i nie więcej
Samochód stanął, wciągnięto Żyda i wywieziono gdzieś w
samechodzie
O ileż lepiej być zastrzelonym, być zastrzelonym, niż zginąć
w męce.
Olką wtargnęli Niemcy do miasta, nocie spędzałem już poza
demem,
Szlełem o zmierzchu do przyjaciela z żoną — przez ciemne szliśmy
ulice.
Niemiec przystanął koło nas w mroku, popatrzył na mnie... tak,
to był moment —
I odszedł. Dziesięć kroków — i wystrzał. Kogoś innego zabił
oficer.

(...)

(Iechak Kacnelson)

KOLYSANKA Z GETTA

Uśnij, moje dziecko,
Jeszcze nie przyszli po nas.
Jeszcze nie przyszli nas zabić.

Jeszcze gwiazdy nad nami
Nie są gwiazdami śmierci.

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

ŻYDZI

Tu także jak w Jeruzalem
Jest posępny mur placu.

Ci, którzy pod nim stali,
Już go nie zobaczą.
Pusta noc, pusty dom, głuchy
gmach.

Stąd ich wywleczono.
Została ciemność — i strach.
I wewnątrz — śmierci łono.

Domy w kamiennym pochodzie
Pod nieubłaganym niebem —
Jak gdyby szły za pogrzebem
Tysięcy rodzin.
(...)

MIECZYŚLAW JASTRUN



Lata 1848 i 1849 to okres tzw. Wiosny Ludów, największych w XIX w. wystąpień rewolucyjnych w Europie. Objęły one Francję, Austrię, Węgry, Rumunię, państwa niemieckie i włoskie oraz znaczną część Polski. W takich krajach jak Węgry, Włochy i właśnie Polska wydarzenia Wiosny Ludów wiązały się ściśle z walką o zjednoczenie i niepodległość narodową. W Polsce największe rozmiary przybrało powstanie wielkopolskie, a Kraków i Lwów były głównymi ośrodkami walki na obszarze Galicji.

Już 15 marca dotarli do Krakowa wieści o wydarzeniach w Austrii: przewrocie w Wiedniu i usunięciu Metternicha. W wyniku amnestii cesarskiej z krakowskich więzień uwolniono więźniów politycznych, zaczęli tu przybywać emigranci z Francji. Patriotyczne podniecenie rosło z dnia na dzień, miasto było iluminowane, przed odwachem orkiestra grała „Jeszcze Polska...”, krakowskie damy szyły sobie suknie w kolorach narodowych, wznoszono okrzyki „Vive la république!”.

Dla utrzymania porządku w mieście utworzono Gwardię Narodową, powołano też Komitet Obywatelski, przemianowany później na Narodowy, który miał być pośrednikiem między ludnością miasta a władzami austriackimi, coraz bardziej zaniepokojonymi sytuacją.

Do pierwszego starcia doszło 25 kwietnia 1848 roku. Na granicy w Mysłowicach Austriacy zatrzymali 53 emigrantów. W mieście natychmiast wybuchły rozruchy, i to tak ostre, że starosta austriacki Wilhelm Krieg zdecydował się cofnąć zakaz i wpuścił emigrantów do Krakowa.

Była to jednak tylko gra na zwłokę, bowiem już następnego dnia władze austriackie skonfiskowały broń przygotowaną dla Gwardii Narodowej w kuźni na Stradomiu i ten fakt zapoczątkował nową falę rozruchów. Na ulicach prowadzących do Rynku zaczęto stawiać barykady, pod pałacem „Pod Baranami” stanęła Gwardia Narodowa gotowa do ataku. Wojska austriackie, zgromadzone pod kościołem św. Wojciecha na rozkaz gen. Castiglione oddały bez ostrzeżenia parę salw do tłumu zgromadzonego na Rynku, później wycofały się na zamek, skąd, znów bez ostrzeżenia, zaczęły bombardować miasto.

Kraków zmuszony został do kapitulacji. Warunki jej były następujące: Komitet Narodowy miał zostać rozwiązany, barykady rozebrane, emigrantom nakazano opuścić miasto, wszyscy mieszkańcy mieli złożyć broń, a ponadto wynagrodzić państwu, osobom wojskowym i urzędnikom szkody powstałe na skutek zamieszek.

Wiosna Ludów w Krakowie

Kraków skapitulował, ale jego bombardowanie wywołało w całej Europie powszechne oburzenie. Generał Castiglione i baron Krieg zostali odwołani ze stanowisk, co jednak nie przeszkodziło Austriakom w zaostreniu potem militarne go reżimu w mieście.

A oto jak te dramatyczne chwile opisują bezpośredni ich świadkowie, Aniela Louisówna i jej brat, Józef Wawel-Louis. Mieszkali oni w tym czasie przy Rynku, w kamienicy „Pod Opatrznością” (dziś Rynek nr 13).

„Rano było zupełnie spokojnie. Dopiero o godzinie 1 przychodzą dwie kompanie wojska do kuźni Müllera i broń, która była zrobiona, tj. piki i kosy, zabierają. Oburzyło to okropnie lud. Rzucano dwa razy kamieniami, wojsko dało ognia i padły 3 osoby. O godzinie 4 po południu siedziemy sobie spokojnie przy kawie, aż tu słychać trzy armatnie strzały jako hasło. Przestraszeni okropnie biegniemy do okna. Wszystkie sklepy na gwałt zamykają, wojsko stawia barykady, tarasując ulice dwoma szeregami żołnierzy, gwardia cała stanęła przed Potockim. Wtem przychodzi Rudolf Chroszczewski w deputacji do Castiglione; co mówili — nie wiem, ale zaraz potem Cas-

tiglione z dwoma żołnierzami pojechał w Grodzką ulicę, ale zaraz wrócił się na powrót. Powiadają, że w Grodzkiej ulicy dwie kobiety strzeliły z okna i jedna postrzeliła go w twarz. Wtenczas sypano barykady na Floriańskiej ulicy, na Sławkowskiej i Szczepańskiej — nasi przeciw napaści austriackiej. Castiglione kazał dać ognia na Floriańskiej ulicy do sypanych barykady i tam pierwszy padł Ignacy Parzelski. (...) W Grodzkiej ulicy było parę strzałów z okien. O ćwierć łokcia byłaby kulka zabiła Kwaśniewskiego, stojącego przy oknach. Myśmy pouciekali do tylnych pokoi. Przed Potockim stała gwardia pilnująca porządku i do niej strzelono trzy razy. Naszych padło kilkunastu. Był to dzień sądny. Przychodzimy do okien — Austriaków nie ma, ranni leżą, krew się broczy, wołają bielizny. Powyrzucaliśmy im prześcieradła, ręczniki...

Na Grodzkiej ulicy zaczęto sypanąć barykady ze stołków, sztyków i rozmaitych rzeczy. My wszyscy, wyleknieni najokropniejszym sposobem, nie wiedzieliśmy, co począć. Wtem słychać strzały armatnie. Wszyscy głowy potrącili (...) strzały stają się coraz gęstsze, zbiegamy na pierwsze piętro, wtem granaty i rakie-

ty wpadają na nasz podwórzec, dymu pełna kamienica...

Zbiegamy ze schodów, a tu granat padł na podwórze i roztrząsał się, zaraz potem połowa osób przebiegła do piwnicy, a po drugim strzale — druga połowa, ale schody były tylko na jedną osobę i ciemne a my świecy nie mieliśmy, a zatem, ratując życie, spychaliśmy się ze schodów...

Po dwugodzinnym bombardowaniu Potocki i Jabłonowski w czasie strzałów poszli na zamek parlamentować. Zawieszenie broni było na dwie godziny pod różnymi warunkami, jeżeli zaś na te nie przystaną, bombardować będą drugi raz (...)

Osób pełno naginęło...

W Komitecie był zwołany sejm. Emigracja chciała sama wyjść, żeby miasto ocalić, ale nasi krzyczeli, żeby nie. Chcieli wykluczyć tych, co na warunki przystawali...

Cały dzień i przyszły spędziliśmy w wielkim strachu. Pełno osób wyjeżdżało. Odbyło się nabożeństwo za poległych. Okropny był to widok — wszyscy czarno ubrani, kobiety niosły trumny.

17 trumien było — wszystkie wieńcami ubrane i na każdej krakuska z kokardą.”

(Aniela Louisówna)*

„Dom moich rodziców, nr 24 w Rynku (dziś Rynek nr 13) uległ w czasie tej katastrofy wielkiemu zniszczeniu. Mianowicie na podwórzu wybuchło 18 rakiet i granatów i tylko opatrności boskiej mamy do zawdzięczenia, że dom nie zamienił się w kupę gruzów. Żelazne poręcze były pogruchotane, przeszło 540 szymb rozbitych, mur na strychu podziurawiony itd. Cały koszt pękniętych granatów nzebieraliśmy na podwórzu, znaleźliśmy także kilka par nie wybuchniętych rakiet, jedną z nich schowałem sobie jako smutną pamiątkę”.

(Józef Wawel-Louis)

Wspomnienia te zamieszczone zostały w tomie „Pamiętniki krakowskiej rodziny Louisów”, wydanej w Krakowie w 1962 r.

(oprac. ed)

1848 (fragment)

Leciał z zachodu rumak złotogrzywy
przez zamki, sioła, i miasta, i niwy;
w ogniach i błyskach, słońcach i piorunach,
w dymu obłokach i pożarów lunach

leciał i rzał;

spod kopyt iskry strzelały mu duże,
trzęsienie ziemi szło za nim i burze,

i wichrów szal —

i krwawa światła wstającego zorza
nad lądy ciemne, nad zastygłe morza,

nad czoła skał,

nowy wieszcząca starej ziemi wschód —
a w zorzy okrzyk: Za wolność i lud!

JERZY ŻUŁAWSKI

Przed paroma tygodniami, z okazji świąt Wielkanocnych, będących wyjątkową okazją do zawierania ślubów, omówiliśmy swaty i zaślubiny w osiemnastowiecznej Polsce. Dziś powracamy do tego tematu, choć — w dalszym ciągu — do ślubu jeszcze daleko! Wprawdzie „koniec wieńczy dzieło” — ale nie wszystkim udawało się pomyślnie do tego upragnionego „końca”, czyli ślubu, dojść. Nie każdy kawaler, starający się o rękę panny, stawał z nią na ślubnym kobiercu. Wielu starających się, pomimo pomyślnych swatów i odhytych już zrękwini — doświadczyło na własnej skórze mniej lub bardziej kosztownych zerwań swej małżeńskiej umowy.

Nie tylko dziś, ale i dawniej życie płałało ludziom różne figle. A więc i bywało właśnie tak, że — mimo dokonania wszelkich formalności — zrękwiny, czyli zaręczyny — zrywano. Na wsi, szczególnie wśród biedniejszej ludności, tego rodzaju fakty bezwzględnie potępiano. Istniało bowiem powszechne przekonanie, że gdy dało się już słowo — nie powinno się go zmieniać, nie powinno zrywać przyrzeczenia. Istniał też dawny zwyczaj nagradzania jakie spowodowała taka decyzja przez stronę zrywającą szkod,



go 300 zł, co było jak na owe czasy bardzo wysoką sumą”.

Zdarzało się i tak, że podchodzono do sprawy zaręczyn i ewentualnego ślubu bardzo „perspektywicznie”: chcąc zabezpieczyć się przed tego rodzaju przykrą ewentualnością, jaką było zerwanie zrękwini, spisywano właśnie przy nich (zrękwinach) akt notarialny. Przeważnie stanowił on o tym, że w przypadku niedotrzymania umowy i zerwania zaręczyn strona winna zerwania ma wpłacić określoną grzywnę na rzecz wskazanego urzędu, instytucji (np. Kościoła bądź urzędu miejskiego).

Bywało i tak, że o odszkodowanie występowano nawet wtedy, jeśli nie było formalnych zaręczyn, lecz rodzice panny dawali w jasny sposób do zrozumienia konkurentowi, że są do niego ustosunkowani przychylnie, że może on liczyć na ich zgodę w otrzymaniu ręki panny. W razie rozwiania się planów matrymonialnych — oskarżano ich o „koszty i stratę czasu”. Dziś, prawdopodobnie, oskarżano by tego typu ludzi o wyrządzenie „krzywdy moralnej”.

Jeśli chodzi zaś o środowisko najbogatsze — szlachtę i magnaterię — to w tych kręgach nie

Przedślubne perypetie — dawniej...

jakie spowodowała taka decyzja. I tak np., gdy stroną zrywającą był kawaler — musiał on zwrócić rodzicom panny młodej wszelkie koszty, jakie ponieśli w związku z urządzeniem przyjęć i daniem prezentów. I, oczywiście, odwrotnie: gdy stroną zrywającą była panna, to wówczas jej rodzice zobowiązani byli oddać kawalerowi wszystkie prezenty, a także pokryć koszty wydatków, jakie poniósł on w związku ze staraniami o rękę dziewczyny. Nie wnikając bliżej w wielkość owych „odszkodowań” warto zwrócić tu uwagę na pewne formy współżycia, jakie obowiązywały wówczas na wsi. Otóż, zdarzało się wśród chłopów spotkać takich, którzy nie bardzo uważali na stronę etyczną całego tego przedślubnego galimatiasu, i konkury do swej córki traktowali po prostu... jako wspólną okazję do objadania się i opijania na koszt „uderzającego w konkury”, zwodząc go obietnicą oddania dziewczyny. Kiedy jednak konkurent — zamiast panny — dostawał przysłowiowego

kosza, wybuchała niezła awantura, następowały zaciekle animozje, zatargi a i nierzadko — oddawano sprawę do rozstrzygnięcia sądowi wiejskiemu. Feudalni panowie starali się uprawomocnić zwyczaj nakazujący płacenie odszkodowania za zerwanie zrękwini, a także — co bardzo ważne — nawet za same tylko „zwozdenie” starającego się. Nakazywano więc surowo, dając tym odstraszący przykład dla następnych ewentualnych chętnych do stosowania tego rodzaju „oszustwa” — by taki wyeksploatowany kawaler otrzymywał stosowne odszkodowanie, nie ponosząc uszczerbku swego majątku (choć trudno tu mówić o prawdziwym majątku, gdyż przeważnie chłopstwo było ubogie).

Zwyczaj, że strona zrywająca powinna ponieść koszty zalotów, istniał nie tylko na wsiach, ale

i w miastach, wśród mieszczaństwa. Ale i tutaj nie zawsze przestrzegano obowiązujących zwyczajów, dlatego też spotykało się konkurentów, którzy zmuszeni byli występować niejednokrotnie na drogę sądową, by dochodzić odszkodowania za poniesione wydatki na zaręczyny i podarki dla swej wybranki i jej rodziców. Jedne sądy miejskie oddalały tego typu sprawy, inne jednak — wydawały wyroki, nakazując zwroty kosztów, mające zaspokoić żądania poszkodowanego. Kiedy panna była posażna, a jednocześnie kapryśna (zazwyczaj jedynaczka!) — po prostu „przebierała w kawalerach”. Zb. Kuchowicz przedstawia taką oto historyjkę: „Pewien mieszczanin uniejowski, będąc prawnym opiekunem panny, aż pięciokrotnie musiał wypłacać odszkodowania i wliczyć, iż fochy podopiecznej kosztowały

podchodzono tak skrupulatnie do wydatków, związanych z konkurentami. Ci z panów, którzy dostali „kosza” czy „arbuza” — przyjmowali to względnie spokojnie, i szukali nowej wybranki swego serca. Rzadko kiedy odrzuconych konkurentów, jak można wyczytać ze źródeł, ogarniała „czarna” rozpacz...

Tak było dawniej. Jak jest dzisiaj? W Polsce kończącego się XX wieku nie są wcale rzadkością sprawy sądowe o „niedotrzymanie obietnicy małżeństwa”, sprawy oszustów matrymonialnych i wiele, wiele innych, bazujących niejako na owych osiemnastowiecznych „cwaniakach”, którzy — z okazji posiadania córki w wieku adekwatnym do wyjścia za mąż — próbowali zrobić na tym „złoty interes”...

Oprac. E. LORENC



Ach, gdybym mógł, na przykład,
Tak zczarować świat,
Że ciepła wiosna, a później lato
Trwałoby nieprzerwanie przez sto lat...

W domu — mama oraz tata
Czasu by mieli coraz więcej,
I — codziennie na spacer
Chodzilibyśmy, trzymając się za ręce...

Rozmawialibyśmy dużo,
O radościach najczęściej zresztą,
Bo wszystkie smutki i kłopoty —
Przepędzę czarodziejską swą laseczką...

W szkole — zarządziłbym inaczej:
Po każdej lekcji — 40 minut przerwy
(A lekcja — trwałaby 5 minut,
Co wzmocniłoby nasze nerwy!)

A przede wszystkim — żadnych dwójek,
Żadnych klasówek, i uwag żadnych,
Natomiast — więcej, więcej wycieczek
Niż — jak co roku — tych kilka marnych...

Ach, żeby móc to wszystko zrobić!
Takie by było piękne życie!
Wśród blasku słońca, wśród uśmiechu...
Prawda? Czy wy też o tym marzycie?

E. LORENC

Marzenie

Małgorzata Kapińska



Dwie siostry
(30)

ten nie posiadał jednak wielkiego majątku, lecz tylko skromny mały dworek wśród ogromnych lasów. Ja zaś pochodziłam z bardzo bogatego domu i powinnam szukać sobie męża wśród równie bogatych rodzin. Nie chciałam jednak za męża bogatego, lecz kochającego. Kochałam pięknego rycerza i wierzyłam, że i on mnie kocha. Stara niania ostrzegała mnie, żebym nie wierzyła za bardzo w piękne słówka, które prawią dziewczętom kawalerowie. Ja jednak tak bardzo lubiłam, kiedy Tytan mówił mi, że jestem najpiękniejsza, najśliczniejsza ze wszystkich królowien na całym świecie.

— Tytan?! Czyżbyś mówiła o rycerzu Tytanie? O tym, który cię więzi w tych lochach?! — krzyknęła zaskoczona wiadomością Malwina.

— Tak, o nim właśnie mówię. Tylko proszę cię, ci... szepnęła zaniepokojona Margeritka.

— Przepraszam cię, już nic nie będę mówiła. Proszę, opowiadaj dalej. Zamieniam się w słuch — prosiła Malwina.

— Tyle było żarliwości w jego słowach, tyle słodyczy (jak się się później okazało: zaprawionych trucizną), że uwierzyłam we wszystko, co tylko powiedział. Uwierzyłam także w jego dobroć, szlachetność bez skazy i w jego uczciwe zamiary — kontynuowała swą opowieść królow-

na Margeritka. — Jakże byłam naiwna i głupia! Ojciec mój, jakby przewidując jakiś podstęp w postępowaniu Tytana, zdecydował, że owszem, zgodzi się na nasze małżeństwo, pod warunkiem jednak, że będzie to tylko i wyłącznie małżeństwo z miłości, bez żadnych korzyści materialnych. Tak więc ja — jako panna młoda, przyszła żona Tytana — nie otrzymałam nic w posagu. Tytan dostałby największy skarb, jaki mężczyzna może dostać w życiu — piękną, dobrą i kochającą żonę. Tylko i wyłącznie żonę. Na taką wiadomość dziwnym blaskiem zapłonęły oczy Tytana. „Będę miał swoją żonę!” — powiedział — „maleńką królowę, nie fałszywą, lecz prawdziwą, na ziarnku grochu!”. Po tych słowach zaczął się śmiać i z tym niesamowitym śmiechem wyszedł z naszego pałacu.

Serce zadrżało mi z obawy, że przestrogi starej niani mogą okazać się słuszne. Czyżby istotnie Tytan liczył tylko na mój posag i dziedziczenie tronu po moim ojcu? Już sama myśl o tym po prostu mnie paraliżowała. Nadal nie chciałam w to wierzyć. Co wieczór czekałam na niego, a on — nie przychodził i nie wiadomo było, co z nim się stało. Nie było go ani w jego dworku wśród lasów, ani nie widziano go na polowaniach, nikt o nim nie słyszał i nie wiedział, co się nagle stało z pięknym rycerzem Tytanem.

Tak minęło pół roku, sześć długich, okropnie długich miesięcy. Ojciec zaczął nawet podejrzewać, że Tytan musiał gdzieś wyjechać daleko, za morza. Namawiał mnie, abym zdecydowała się wyjść za mąż za naszego sąsiada — cichego, skromnego młodzieńca, księcia Rolanda. Na próżno! Nie wiedział mój ojciec, że moim sercem i duszą zawiądnął bez reszty Tytan. Jakże byłam głupia! Wciąż czekałam na niego i wierzyłam, że stęskniony za mną powróci któregoś dnia i nareszcie będziemy razem. O, dziewczęta naiwności! Doczekałam się wreszcie swojego ukochanego — a jakże! Tytano, że nie był to już mój miły Tytan, rycerz o szlachetnym sercu (jak sądziłam). Był to rycerz — robot, maszyna pozbawiona serca, dobroci i miłości. Przybył w otoczeniu swych kamratów — diabelskich braci, aby zrujnować mój dom, zamienić w gruzy nasz zamek, a mego ojca — wysłać na tamten świat. Biedny, drogi ojciec! Nie mógł przeżyć ciosu, jaki go spotkał! Nie mógł pogodzić się z tym, że jego majątkiem zawiądnął nie człowiek, lecz sam bies! Rozpacz moja była ogromna, lecz nie wzruszyłam tym Tytana. Patrzył na mnie swymi przenikliwymi, hipnotyzującymi oczami, patrzył i śmiał się. Wiedziałam, że nie spotka mnie już nic dobrego z jego strony...

(cdn.)

— Musimy porozmawiać. Tytano proszę cię, rozmawiajmy bardzo cicho! — prosiła maleńka. — Ściany tutaj mają uszy i wszędzie tyle zła i podstęp — ostrzegała Malwinę.

— Ty jesteś królową Margeritką — nie prawdaż? — spytała Malwina. — Dlaczego jesteś taka niesamowicie maleńka?

— Och, to długa historia i bardzo smutna — westchnęła Margeritka. — Dawno temu pokochałam pięknego rycerza, dzielnego rycerza o złotym, szlachetnym sercu. Nazywał on mnie swoim szczęściem, jedyną radością życia, swoją perełką. Rycerz



Rozmowy z Czytelnikami

„Od pewnego czasu — pisze p. Stanisław R. z Sieradza — interesuję się liturgią a ściślej mówiąc, genezą i rozwojem uroczystości liturgicznych obchodzonych w Kościele Powszechnym. Proszę więc o zamieszczenie na łamach Waszego tygodnika informacji dotyczącej powstania i rozwoju święta Bożego Narodzenia. Dlaczego data tego święta ustalona została na dzień 25 grudnia?”

Zbieram również materiały związane z życiem i działalnością świętych. Bardzo mnie interesują postacie apostołów Słowian, świętych Cyryla i Metodego. Nie mogę — niestety — zdobyć żadnego opracowania na ten temat. Proszę więc o informację o nich”.

Szanowny Panie Stanisławie! W starożytności chrześcijańskiej pamiątka narodzenia Chrystusa obchodzona była 6 stycznia, razem z Epifanią (świętowaniem hołdu trzech Mędrców). Jako osobne

święto uroczystość ta ustanowiona została w Rzymie dopiero w IV wieku. Najstarszą wzmiankę o tym święcie przytacza „Chronograf” (ilustrowany, anonimowy kalendarz z roku 354), przygotowany jako noworoczny upominek dla wysokiej rangi urzędnika rzymskiego, chrześcijanina. Boże Narodzenie znajduje się w nim pod datą 25 grudnia.

Przyjęcie tej właśnie daty tłumaczy liturgiści rozmaicie. Według najbardziej powszechnej opinii, chrześcijanie — nie znając faktycznej daty narodzin Chrystusa — celowo przyjęli dzień zimowego przesilenia dnia z nocą. Chcieli bowiem obchodzonemu w Rzymie pogańskiemu świętu narodzin boga „Słońca Niezwyciężonego” przeciwstawić narodzenie Boga-Człowieka, Jezusa Chrystusa. Według nauki objawionej jest On bowiem „Słońcem sprawiedliwości” (Mal 3,20), „Światłością świata” (J 8,12) oraz „Światłością, która oświeci pogan” (Łk 2,32). Byłaby to więc chrystianizacja święta pogańskiego. Inni natomiast wybór daty Bożego Narodzenia uzasadniają opartym na apokryfach nowotestamentowych przekonaniu chrześcijan, że poczęcie Chrystusa jako człowieka dokonało się 25 marca. Zatem Jego narodzenie powinno nastąpić właśnie w dniu 25 grudnia.

Do końca IV wieku uroczystość ta przyjęła się na Zachodzie. Szybkiemu rozpowszechnieniu sprzyjało przyjęcie jej na dworze cesarza Konstantyna Wielkiego. Ponadto w uroczystości tej, będącej potwierdzeniem — uchwalonego przez Sobór Nicejski I — dogmatu o bóstwie Jezusa Chrystusa, widziano pomoc w walce z błędami arianizmu. Również w IV wieku uroczystość ta przyjęła się na Wschodzie. W Jerozolimie nastąpiło to dopiero na przełomie VI i VII wieku. Natomiast

Kościół ormiański przyjął ją dopiero w 1306 r.

Święci Cyryl i Metody — a właściwie Konstantyn i Michał, gdyż takie były ich imiona chrzestne — wywodzą się z Tesaloniki (dawny słowiański Sołun; dziś Saloniki) w Macedonii.

Cyryl urodził się w 826 lub 827 r. Studiował w cesarskiej akademii w Konstantynopolu, gdzie też zapoznał się z klasykami starożytnymi oraz z teologią patrystyczną. Około roku 847 przyjął święcenia kapłańskie i został bibliotekarzem przy świątyni „Świętej Mądrości” w stolicy cesarstwa wschodniego. Jednocześnie był doradcą patriarchy Ignacego. Wkrótce jednak osiadł w klasztorze nad Bosforem. Nie pozostał tu jednak długo, gdyż powołany został na wykładowcę filozofii w akademii cesarskiej. Stąd jego przydomek „Filozof”.

Metody (starszy brat Cyryla) urodził się około 815 r. Otrzymał wykształcenie prawnicze i pracował początkowo w administracji państwowej. W roku 840 wstąpił do klasztoru w Bitynii (Azja Mniejsza). Około roku 860 wyprawił się wraz z bratem w celach misyjnych do Chazarów na Krym. Odtąd pracowali razem.

W roku 863 przybyło do Bizancjum (tak bowiem Słowianie nazywali Konstantynopol) poselstwo księcia wielkomorawskiego Rościława z prośbą o misjonarzy znających język słowiański. Chodziło mu bowiem o przeciwdziałanie wpływom łacińsko-niemieckim. „Bracia sołuńscy” (tak bowiem nazywano Cyryla i Metodego) na pewno znali ten język z czasów swej młodości gdyż w Macedonii nie brakowało osadników słowiańskich. Dlatego cesarz wyznaczył ich do tej misji. W tym celu wspólnie przygotowali oni słowiański przekład Ewangelii, Dziejów Apostolskich i Psalmów

oraz niektórych ksiąg liturgicznych. Stworzył też Cyryl najstarsze pismo słowiańskie, zwane „glagolicą”. Na Morawy przybyli oni w roku 864. Jednak już w dwa lata później — po zwycięstwie Ludwika niemieckiego — misjonarze musieli uchodzić do Panonii. Książę Kocel przyjął ich zyciwiście i pozwolił im rozpocząć pracę misyjną. Z braku duchowieństwa nie mogli jednak stworzyć tu organizacji kościelnej. Udali się więc do Akwilei (stolicy patriarchy), gdzie spodziewali się uzyskać święcenia kapłańskie dla swych uczniów. W Wenecji spotkali się z ostrym atakiem ze strony duchowieństwa łacińskiego, przeciwnego liturgii słowiańskiej. Sprawa oparła się o Rzym. Ostatecznie papież Hadrian II nie tylko udzielił święceń przedstawionym przez Cyryla i Metodego uczniom, ale zaakceptował nową liturgię. Udzielił też Metodemu sakry biskupiej i mianował go arcybiskupem Moraw w Panonii. Podczas pobytu w Rzymie, Cyryl zachorował i zmarł 14 lutego 869 r.

Metody nadal kontynuował działalność misyjną wśród Słowian. Na około 100 lat przed wprowadzeniem przez Mieszka I chrześcijaństwa obrządku łacińskiego, misjonarze słowiańscy dotarli na ziemię Wiślan. Świadczą o tym wykopaliska na Wawelu i w Wiślicy. Jednak działalność ich napotykała na dalsze przeszkody. Nie ominęły ich nawet prześladowania. Metody został uwięziony przez biskupów niemieckich. Kres jego działalności położyła śmierć (w Welehradzie lub Mikulczycach) 6 kwietnia 885 r.

Korzystając z okazji łączę dla Pana i pozostałych Czytelników serdeczne pozdrowienia w Chrystusie

DUSZPASTERZ

PORADY

Wiosna już w pełni, narty, sanki i łyżwy od dawna czekają na lepsze niż w tym roku czasy, za to na ulicach i podwórkach coraz więcej rozmaitych odmian „bicykli”: od superbezpiecznych 4-kołowych, przez trójkołowe do składaków, wyścigówek czy turystycznych „koni mechanicznych”.

Niestety, wraz z rozwojem motoryzacji zwiększa się liczba nieszczęśliwych wypadków. Często sprawcami i ofiarami ich są młodociani rowerzyści. Oczywiście jest z jednej strony, że od dyscypliny, kultury i starannego przeszkolenia jeżdżących wszelkimi pojazdami, w tym też rowerami, zależy w ogromnym stopniu bezpieczeństwo na drogach. Z drugiej zaś strony wielu młodych rowerzystów (bo głównie o nich będziemy dziś mówić) jeździ nieumiejętnie i wbrew przepisom po chodnikach, skwerach, alejach, w parkach, a nawet placach zabaw dla dzieci. Są oni plagą i postrachem maluchów i opiekunów, a także osób starszych. Dlatego

właśnie niezbędne jest masowe nauczanie dzieci i młodzieży jazdy na rowerze i przepisów ruchu drogowego, i to już od najmłodszych lat. Zapewni im to w przyszłości możliwie bezpieczne poruszanie się pojazdami mechanicznymi po drogach publicznych i wpłynie, być może, na ogólny spadek liczby wypadków na drogach.

Pamiętajmy przede wszystkim, że po drogach publicznych samodzielnie wolno jeździć dzieciom od 10 lat, i to tylko tym, które zdobyły karty rowerowe. Dzieci młodsze, od siódmego roku życia, mogą jeździć po drogach tylko pod opieką osób dorosłych. Przedtem jednak muszą nauczyć się naprawdę dobrze jeździć.

Już dwuletni maluch na trzykołowym rowerku uczy się pedalowania, zmiany kierunku, zatrzymywania. Dziecko czteroletnie z powodzeniem może uczyć się jazdy na rowerku dwukołowym z umocowanymi z tyłu dla równowagi dwoma małymi kółkami.

Cyklisci na czterech, trzech i dwóch kółkach

Można je będzie odłączyć, gdy dziecko nabierze już dostatecznej wprawy na czterech kołach. Najlepiej, aby dziecko samo, bez pomocy próbowało samodzielnej jazdy na równym placu o nawierzchni ziemnej lub kortowej. Asfalt jest do nauki bardzo dobry, ale może być niebezpieczny w razie upadku. Dzieciom niepewnym siebie, bojaźliwym, można pomóc przytrzymując im rower z tyłu, najlepiej za kij długości ok. 1 m, umocowany możliwie pionowo z tyłu siodełka. Stopniowo podtrzymywanie powinno być coraz słabsze, wreszcie zaniechane zupełnie.

Choć pierwszych upadków na elastycznym podłożu nie trzeba się obawiać, to psychologicznie mogą one opóźnić samodzielny „start”. W każdym razie, gdy dziecko już swobodnie pedałuje, należy zwrócić uwagę na jego postawę — zależną w dużym stopniu od wysokości siodełka i kierownicy. Należy je tak ustawić, aby noga rowerzysty znajdująca się w najniższym punkcie położe-

nia pedału była swobodnie wyprostowana, a tułów nie był ani zanadto pochylony, ani zbyt wyprostowany. Młodzi kolarze powinni trzymać kierownicę oburącz, trzymając ją jedną ręką tylko w momencie sygnalizowania, np. skrętu. Przy nauce namowywania i zatrzymywania pamiętajmy, aby nauczyć dziecko stopniowo wytracać szybkość hamując tylne koło. Dopiero jeśli naprawdę trzeba, łagodnie naciska się hamulec przedni, aby nie upaść ani nie być „wysadzonym z siodła”. Ostre hamowanie jest bardzo niebezpieczne, zwłaszcza na jezdni mokrej lub oblodzonej.

Dla osiągnięcia wprawy dziecko musi dość długo ćwiczyć jazdę. Powinno ono pod okiem opiekunów doskonalic zarówno technikę jazdy, jak i uczyć się podstawowych przepisów ruchu drogowego, znaków drogowych i sygnalizowania zamiarów na drodze.

Wszystkim cyklistom życzymy szerokiej i bezpiecznej drogi!

Inspicjent chodził z kulisy w kulisę, zacierał ręce i mruczał:
 — Dobrze, ale jeszcze za mało patosu, za mało!...
 — Przecież już krzyczy, nie mówi! — rzuciła mu szydyczko Majkowska.

— Moja pani!... pani miewasz konwulsje na scenie, a nikt ci tego przez grzeczność nie wymawia — odpowiedział za przyjaciela Stanisławski.

— Nie tak!... Wiatrak pani z siebie robisz czy co?... któż tak rękami wymachuje? — wołał reżyser.

— Nie detonuj pan, przecież to pierwsza próba! — zawołała Cabińska z krzesła.

— Chodź pan po scenie jak gęś! — znowu rzucił zirytowany Topolski.

— Ona jest niezła, ale do pralni! — syknęła Mela.

Pomimo wszytych, choć czuła pod powiekami łyżki złości, grała nie dając się wysadzić z charakteru i nie tracąc ani na chwilę przytomności.

Kiedy skończyła, Cabińska ją ostentacyjnie ucałowała i głośno, aby Majkowska dosłyszeć mogła, zaczęła ją chwalić.

— Winszuję pani, będziesz pani doskonałe grać tę rolę!

— Niech pani szczegóły więcej opracuje — radził jej Stanisławski.

— Przecież to próba!... ja całą postać mam już w myśli gotową.

— Będziemy mieli teraz naprawdę bohaterkę, bo i z piękności, i z talentu! — zawołała bardzo głośno Rosińska.

Majkowska spojrzała na nią wściekłe, ale się nie odezwała.

Janka czuła się tak wesołą i dobrą, że miała ochotę uściskać wszystkich.

Za dwa dni miało być przedstawienie.

Ten czas był jedną olbrzymią smugą światłości, w której zdawała się pogrążyć zachęcona. Zdawało się jej, że jest zupełnie zadowolona.

— Nareszcie! nareszcie!... — szeptała upojona — Skończy się bieda, skończą się upokorzenia!...

Myślała, że zaraz dostanie jakiś wydział ról. Puszczala wodze wyobraźni i widziała się już w jakiegoś szczytu. Była już w tej ziemi obiecanej wrzuseń potężnych, o której codziennie marzyła; w tym świecie, który się roił przed nią wspaniałym tłumem postaci bohaterkich, uczuć nadludzkich, piękna olśniewającego, gdzie była pełna harmonia pomiędzy marzeniami a rzeczywistością.

Uśmiechała się z politowaniem do tych dni niedostatków, jakby się już z nimi żegnała na wieki. Wszystko, nawet Wladek, zbladło przed jej zahipnotyzowanymi oczyma.

Po tysiąc razy powtarzała rolę Marii. Przesiadywała całymi godzinami przed zwierciadłem układając sobie mimikę i dostawała febrę z niecierpliwości oczekiwania.

Przez sen prawie siedziała w nocy na łóżku i patrzyła; zdawało się jej, że widzi pełen teatr. Widzi promieniowanie spojrzeń, że wcho przedstawieli prasy... że słyszy ciche głosy publiczności, dzi na scenę i gra... Na pół przytomnie powtarzała słowa roli, zapalała się deklamując z uniesieniem, a później opadając w senność głębszą uśmiechała się przez łyżki szczęścia, bo słyszała najwyraźniej ten znany, wstrząsający łoskot braw i wołanie:

— Orłowska! Orłowska!...

I z tym uśmiechem zasypiała i budziła się do dalszego ciągu marzeń.

Co tylko mogła jeszcze sprzedać, sprzedała, aby się odpowiednio do roli ubrać. Ze śmiechem zadowolenia wypędzała od siebie Władka, aby jej nie przeszkadzał.

W dzień, tak dla niej ważny i decydujący, przed generalną próbą, Cabiński odebrał jej rolę i oddał Majkowskiej.

Intryga i zazdrość zrobiły swoje.

Cabiński uległ, bo mu Topolski zagroził, że z połową towarzystwa natychmiast wyjedzie, jeśli roli nie odbierze Jance i nie odda Majkowskiej.

Była to zemsta za Kotlickiego.

Janka straciła po prostu przytomność, ugodzona w samo serce; zaczęła się chwiać na nogach czując, że teatr zaczyna z nią wirować i że się to wszystko razem z nią w jakąś czarną noc zapada... Spojrzeniem niewypowiedzianego bólu obrzuciła wszystkich, jakby szukając pomocy, ale większość towarzystwa miała w twarzach uciechę z takiego pysznego kawału i zadowolenie zwierzęce kretyńców z przyzduszenia talentu. Szydliłi spojrzemiami z pokonanej: domyslniki, palące drwiny syceć zaczynały ze wszystkich stron i padać na jej porażoną cięsem niespodziewanym duszę. Podnosiły się śmiechy brutalne, smagające jak biczem, i cała ludzka podłość zadowolenia z bólu innych znajdowała sobie cel i ujście.

A ona stała bez słów i bez ruchu, z tym bólem okropnym serca, w którym jakby się rwały wszystkie tętnice i zalewały go krwią rozpaczy.

Zebrała na tyle sił, że zapytała:

— Dlaczego ja nie mogę grać?...

POZIOMO: A-1) pomysłowość, bujna wyobraźnia, B-3) surowiec stolarski, C-1) czasopismo szaradziarskie, D-3) satelita Cyryla, E-1) polskie włókno syntetyczne, F-7) zakonnica, H-1) święty, patron strażaków, I-7) dawna zabawa połączona z loterią fantową, K-1) świta, L-6) odstępcza od wiary, M-1) wydawca, N-6) kotara.

PIONOWO: 1-A) rozmiar, kształt, 1-H) broń szermiercza. 3-A) Poniatowski, 4-K) solenizantka z 27 kwietnia, 5-A) przepływa przez Weronę, 5-G) w porzekadle z makiem, 6-K) królewska ryba, 7-E) typ aktora, 8-A) imię autora „Konrada Wallenroda”, 9-D) mityczne uosobienie niezgody, 9-I) podpora flagi, 10-A) pocisk do kuszy, 11-F) u stóp Gubałówki, 13-A) bohater „Chłopów”, 13-H) oszczędnościowy podpis.

Po rozwiązaniu należy odczytać szyfr (przysłowie ludowe):

(D-12, B-11, G-7) (K-2, B-1, A-6, C-7, H-6, M-9, L-4) — (A-13, B-3, C-10, N-13, I-5, G-11, F-8).

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztowce: „Krzyżówka nr 16”. Do rozlosowania: nagrody książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki nr 5

„Gdzie wiele pasterzy, złe pasterstwo” (ludowe).

POZIOMO: ustronie, tętent, Traviata, parter, wzgórze, turbina, motylek, abonent, deptak, hubianka, ziarno, sensatka. **PIONOWO:** ustawa, Meduza, Traugutt, tyrs, obiór, aiga, kłos, etyka, etap, Agra, owies, eter, internat, sterta, atropa.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki Nr 5 nagrody wylosowali: Patrycja Kosakowska z Nowej Soli i Jacek Chojda z Chłaniowa.

Nagrody prześlemy pocztą.

KRZYŻÓWKA nr 16

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13
A													
B													
C													
D													
E													
F													
G													
H													
I													
K													
L													
M													
N													

rodzina
 TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spółeczne Towarzystwo Polskich Katolików, Instytut Wydawniczy im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Redaguje Kolegium. Adres redakcji i administracji: ul. J. Dąbrowskiego 60, 02-561 Warszawa. Telefon redakcji: 45-04-04, 48-11-20; administracji: 45-54-93. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Cena prenumeraty: kwartalnie 250 zł, półrocznie 520 zł, rocznie 1040 zł. Warunki prenumeraty: 1. dla osób prawnych — instytucji i zakładów pracy — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach; — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla osób fizycznych — indywidualnych prenumeratatorów: — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch”; 3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-959 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-20145-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy; Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę: — od dnia 10 listopada na I kwartał, I półrocze roku następnego oraz cały rok następny; — do dnia 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo skracania materiałów nie zamówionych. Druk PZGraf. Smolna 10.12. Nakład 25 000. Zam. 159. U-8.



KOMEDIANTKA

— Nic mi nie jest... Winienem tylko komuś kilkanaście rubli i oddać nie mogę... Matce mówić nie mogę, bobym ją jeszcze dobił... chodźcie znowu!... Cabiński nie chce nic dać i urwije sobie łeb!...

Kłamał, ot tak sobie, bo grał całą noc i przegrał wszystko. Jance przypomniał się dług zaciągnięty u Głogowskiego, więc bez namysłu odpięła złoty zegarek z taką dewizką i położyła przed nim.

— Nie mam pieniędzy. Zastaw i zapłać swój dług — rzekła z serdecznością.

— Nie, nigdy! cóż znowu!... Nie potrzeba mi wcale... ależ, dziecko moje!... — wymawiał się Władek w pierwszym porwywie uczciwości.

— Weź, proszę cię o to... Jeżeli mnie kochasz, to weźmiesz... Władek się chwilę jeszcze drożył, ale pomyślał, że mając pieniądze mógłby się odegrać.

— Nie!... do czego by to było podobne! — szeptał broniąc się coraz słabiej.

— Idź zaraz, a z powrotem wstąp, to pójdziemy na śniadanie. Ucałował ją niby zażenowany, mruzczał coś o wdzięczności itd., ale zegarek wziął i poszedł zastawić.

Wrócił pośpiesznie, przynosząc trzydzieści rubli. Dwadzieścia zaraz od niej pożyczył i chciał nawet napisać jej kwit. Pognewała się, tak że musiał ją przeproszać, i poszli na śniadanie.

Mieszkałi prawie razem. W teatrze wiedziano o tym stosunku, ale nikt na tak zwyczajną rzecz nie zwracał uwagi.

Tylko Sowińska czasami dogryzała Jance półsłówkami i lekceważeniem i o ile niedawno wychwalała tylko Władka, o tyle teraz wy-

gadywała na niego masę obrzydliwości... Znajdowała ogromną rozkosz w takim znęcaniu się nad Janką.

Mściła się tak za syna.

Naznaczono wreszcie sceniczne próby z *Robina*. Przyniósł jej tę wiadomość Władek, bo od kilku dni wcale nie wychodziła z domu czując się bardzo słabą. Ogarniała ją jakaś senność nużąca, to ból nieznośny krzyża; to znów jakieś uczucie niemocy i zniechęcenia ją opanowywało, że miała ochotę płakać, nie chciało się jej ruszyć z łózka, tylko leżała całymi dniami, wpatrzona w sufit. Dostawała dawnego szumu w głowie i takie pragnienie ją paliło, że nie mogła go niczym ugasić, ale na wieść, że będzie grać, uczuła się od razu zdrową i silną.

Poszła na próbę z trwogą, ale zobaczywszy przyszłego Garricka, opanowała się szybko. Amator ów był to chudy, mięczakowato-słazmarny chłopak; nie wymawiał „l”, chodził jak kaczką, ale że był kuzynem jednego z wpływowych dziennikarzy, który go popierał, więc patrzył na teatryk z góry i traktował wszystkich z łaskawością.

Drwili sobie delikatnie z niego w oczy, a śmiali się głośno za plecami.

Na próbę, jakby się towarzystwo zmówiło, zjawili się w komplecie.

Skoro tylko Janka weszła na scenę, Majkowska ostentacyjnie usunęła się w kulisy, a Topolski nie kiwnął jej nawet głową na przywitanie.

Zrozumiała, że z nimi już zerwane na dobre; nie miała już czasu myśleć o tym, bo zaraz zaczęli próbę. Pomimo że sobie postanowiła tylko markować grę, nie mogła się powstrzymać, aby choć szerokimi konturami nie nakreślić roli.

Rozdrażniała ją ogromnie to, że się wszyscy na nią patrzyli, że z każdego punktu czuje oczy utkwione w siebie; zadawało się jej, że widzi drwin w spojrzeniach, szyderstwo na ustach, więc się chwilami szarpała w rozdenerowawaniu i wybuchała całym swoim temperamentem albo znowu mówiła za cicho.

Majkowska sykała i śmiała się z Zarzecką, głośno wypowiadając zdanie o jej grze. Topolski wracał ją kilkakrotnie do wejścia, bo w zdenerowaniu wchodziła źle na scenę.

Janka wiedziała, do czego to wszystko zmierza, więc zbyt do serca nie brała drwin Meli ani pedantycznych informacji reżysera. Grała dalej; rola wychodziła nierówno, ale silnie.

Zrobiła się charakterystyczna cisza; nikt się nie śmiał i nikt nie błaznował głośno.

(55)

Domowe pielesze nie zwalniają bynajmniej ze starannego ubioru. Okrycia poranne w rodzaju piżama, nocna koszula czy szlafrok nie mogą być „strojem całodziennym” niepracującego zawodowo domownika. Jedynie choroba działa tu usprawiedliwiająco, chociaż będąc chorym, częściej przebywamy w łóżku, niż paradujemy po mieszkaniu. Trzeba przy tym pamiętać, że zarówno bielizna nocna, jak i szlafrok powinny być zawsze czyste i świeże.

Czyste i świeże powinno być także nasze ubranie dzienne. Nawet przy gruntownym sprzątnięciu pani domu nie musi robić tego w brudnym fartuchu. By uniknąć zabrudzenia bluzki czy podomki, najlepiej zawinąć rękawy do odpowiedniej wysokości lub włożyć strój z rękawami do łokcia, co pozwala zachować swobodę ruchów a przy okazji także świeżość domowej odzieży. Przestrzeganie powyższej zasady może okazać się wcale pożyteczne, na przykład wówczas, gdy w domu zjawi się zupełnie niespodziewanie przyjezdny gość lub interesant. Zresztą i bez tego „zagrożenia” kobieta czy mężczyzna powinni być w swym domu zawsze zadbani, chociażby ze względu na samych siebie, nie mówiąc już o współdomownikach (mężu, żonie czy dzieciach), którym także przyjemniej jest patrzeć na schludnie ubranych rodziców.

Strój domowy, na ogół powinien sprzyjać relaksowi i być swobodny oraz twarzowy. Ciemne kolory i monotoność barw na ogół nie poprawiają przecież samopoczucia, podobnie jak zbyt jaskrawe, które niekiedy mogą denerwować. Na ubrania dzienne radzę więc wybierać materiały o spokojnych barwach — pogodnych, ale pastelowych.

Ta ostatnia uwaga dotyczy oczywiście bardziej pań niż panów. Panowie na ogół nie



Jak się ubierać?

muszą sobie sprawiać osobnego domowego stroju. Wystarczą „domowe” — nie wizytowe — spodnie, sportowy sweter czy kamizelka. Ważne jest natomiast, by wszystkie detale takiego domowego stroju były na swoim miejscu, tzn. guziki nie wisiły na jednej nitce, latki nie były naszyte niemi jaskrawo różnymi się od koloru swetra itp.

Panowie w starszym wieku mogą — o ile chcą — nosić bonzurki, chociaż zwyczaj ten należy już raczej do rzadkości.

Pantofle domowe nie powinny straszyć starością. W przydeptanych kapciach nikomu nie będzie „do twarzy”, a już na pewno kobiecie.

Jeśli gość zastanie nas w piżamie, wskazane jest włożyć na nią szlafrok. Szlafrok jest też niezmiernie pożądanym podczas pobytu w sanatorium, cudzym domu czy pensjonacie.

W bonzurce nie przyjmuje się proszonych gości. W miękkich pantoflach — także.

Pani domu, jeśli przyjmuje gości nie powinna zakładać najstrojniejszej ze swych toalet. Umiarkowana elegancja jest zawsze stosowniejsza niż pretensjonalny strój, obliczony na „przyćmienie” innych.

Papiloty nie dodają uroku żadnej kobiecie. Należy o tym pamiętać, i nie czynić z nich całodziennego „nakrycia głowy”, nawet w obecności najlepszego męża. Udawania się na spoczynek w papilotach także nie polecam. Nie tylko ze względu na wygodę, ale również przez wzgląd na ich „antykokieterię”.

Skoro już o strojach mowa, słów kilka o elegancji. Otóż po pierwsze elegancko, nie znaczy od razu drogo. Można wydać na siebie majątek i nie być dobrze ubranym. Wszystko zależy bowiem od smaku, znalezienia własnego stylu oraz umiejętności pogodzenia z tym stylem każdej królującej mody.

Przejawia się to najczęściej tym, że osoba mająca własny styl nie nosi rzeczy przypadkowych. Sama wie, jak ma wyglądać i realizuje to. W rezultacie jest właśnie „sobą”, a nie powieloną kopią atrakcyjnej modelki czy głośnej filmowej gwiazdy. Nie ma tu żadnej sprzeczności. Styl indywidualny zawsze da się pogodzić z modą, o ile tylko w umiejętny sposób będziemy korzystać z żurnali.

Każda moda stwarza bowiem niezliczoną ilość kombinacji. Z obowiązującej linii, dodatków, kolorystyki zawsze można wybrać coś, co dla naszej urody, figury będzie odpowiednie. W ten sposób można być modnym pozostając sobą.

Panie przestrzegam przed popełnianiem ubraniowego plagiatu. Robienie z siebie „kopi” nawet najelegantszej koleżanki, choćby za jej zgodą, nie zawsze musi wyjść na dobre.